Nr. 49. Lwów — Piątek dnia 28 Lutego. Rok 1902.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 5 po południu z datą dnia następnego.
Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h. w Niemczech „ 3 „ — „ w innych Państwach „ 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. Opłaty należy czynić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie 8 h. na prowincyi 12 h.
Numera z poprzednich dni po 20 h.
Wszelkie OGŁOSZENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach [illegible]

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

Dziś: św. Romana W. — Onezyma Ap. Jutro: św. Albina Bisk. — Pamfila M.
Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**
Wschód słońca o g. 6 m. 58. Zachód „ „ 5 m. 35.
Długość dnia godzin 10 minut 42. Przybyło dnia od wczoraj 2 min.

Nowe rugi.

Z Niemiec znowu usuwają Polaków, — robotników i studentów. Właścicielom kopalń węgla i żelaza w Westfalii zalecono pozbywać się polskich górników, żeby zaś to zalecenie poskutkowało, rząd zagroził owym właścicielom projektem wywłaszczenia ich kosztem 58 milionów marek. Dzienniki hakaty utrzymują, że taka samoobrona jest konieczna, albowiem nadreńskim okolicom grozi spolszczenie. „Niech nikt nie myśli, że założenie w Dortmundzie stowarzyszenia obrony niemczyzny jest karnawałowym żartem, — woła *Posener Tageblatt*. — Niestety w tej prastarej ziemi niemieckiej stosunki tak się ułożyły, że Niemcy naprawdę czują się zagrożonymi. We wszystkich tamtejszych miastach są już czysto polskie dzielnice z ulicami, noszącemi nazwy polskich bohaterów; policye wymagają od swych żołnierzy znajomości polskiego języka, kupcy nie mogą się obejść bez polskich subjektów, w kościołach się wreszcie polskie ołtarze, rozbrzmiewają tam polskie pieśni, przy wyborach do rad gminnych Polacy starają się przeprowadzić swoich kandydatów, wreszcie w zuchwalstwie swem posunęli się aż do postawienia polskiego kandydata na posła do parlamentu z okręgu Duisburg-Mühlheim i tem nareszcie zrazili do siebie centrum, które wskutek owego odłączenia się Polaków straciło mandat. Centrum też przyczyniło się do założenia w Dortmundzie stowarzyszenia obrony niemczyzny, które przy pomocy rządu i narodu oczyści Westfalię z Polaków".

Tak oto pisma hakaty tłómaczą rządową wskazówkę, aby właściciele kopalń westfalskich pozbywali się polskich robotników. Wyjątek zrobiono dla protestanckich mazurów, co dowodzi, że nietylko polskość, ale i katolicyzm jest rządowi niemiły. W każdym razie za żart krótkowidzów politycznych, którzy postawili byli polską kandydaturę w Westfalii, drogo zapłacą polscy górnicy, bo stracą nietylko stałe zajęcie w kopalniach, ale nadto kapitał, włożony w domy, sklepy, warsztaty i t. d. Lekkomyślność polityczna jest najdroższym zbytkiem, jest czemś bez porównania szkodliwszem dla narodu od jeżdżenia jednostek do Monte Karlo. Czynimy dobrze, surowo potępiając tych, którzy grają hazardownie, lecz powinniśmy jeszcze surowiej potępiać tych lekkomyślnych polityków, którzy hazardując w politycznej walce z Niemcami, przegrywają nieswoje.

Zaczną się tedy rugi górników polskich z Westfalii za ich polskość i za ich katolicką wiarę. To będą ofiary położenia narodu.

Lecz nie wiemy, czy za takie same ofiary można uważać wydalanych studentów. W Berlinie i Charlottenburgu zaaresztowano w nocy, w różnych piwiarniach, gromadki polskich studentów uniwersytetu i politechniki. Zarzucono im, że nie piwo pili, lecz odbywali zgromadzenia nielegalne, bo nieoznajmione policyi, a przytem poświęcone zaprawianiu się w socyaliźmie. Zaaresztowanych trzymano na policyi kilkanaście godzin, odebrano im wszystkie papiery, zrobiono w ich mieszkaniach rewizye, poczem wypuszczono. *Dziennik Berliński*, wydawany przez socyalistów, doniósł, że czterdziestu studentom będzie wytoczony proces o propagowanie zasad, potępianych przez rząd. Jakich mianowicie zasad? Wiemy z wczorajszego telegramu o nowej polskiej rozprawie, że minister Hammerstein posądza tych studentów o propagowanie wielkopolskiej idei, o dążność do odbudowania Polski i o zbieranie funduszów „na bunt". Natomiast poznańskie pisma w doniesieniach z Berlina utrzymują, że owym studentom wcale nie szło o Polskę, lecz jedynie o socyalizm. Ponieważ *Dziennik Berliński* zatytułował swój artykuł o uwięzieniu studentów słowami „Walka o byt", przeto poznański *Orędownik* zawołał: „Co tu ma świadczyć o „walce o byt", tego nikt nie zrozumie. Nasza berlińska demokracya, zdaje się, zaczyna robić sobie sport z tej wojny, jaką hakata wydała naszemu narodowi. W tej wojnie istotnie chodzi o życie, a w sprawie ze studentami może chyba chodzić o ich lekkomyślność, tem gorszą, że ich już usilnie ostrzegano. Zaiste, wielka jest naiwność tych młodzieńców, zwłaszcza z Królestwa. Czyż po procesach gimnazistów oni nie wiedzieli, że z władzą pruską nie ma żartów i że policya wytropi ich narady, pozabiera ich notatki i ułoży taki akt prokuratorski, żeby znowu wina spadła na polski naród? Wielka naiwność także tych panów, którzy takie studenckie roboty nazywają „walką o życie". Niedawno młodzieńcy odbyli naradę w Antwerpii i protokół swych narad przywieźli do Niemiec, gdzie go policya zabrała. To także *Dziennik Berliński* zaliczył do czynów „walki o życie". Ale przecież w Antwerpii niema Polski. Panowie berlińscy demokraci! Wypędźcie sobie z głowy polityczne muchy! Fabrykujcie Polskę gdzieś na kongresach w Zurychach i Antwerpiach, roznoście ją po całym świecie, ale pamiętajcie, że nie wy pracujecie dla narodu. Rzetelna walka o byt narodowy toczy się nad Wartą, Prosną, Wisłą... Wasza „walka o życie" — to lekkomyślny sport".

Dodajmy jeszcze, że inny organ „demokracyi narodowej" *Goniec Wielkopolski* daje do zrozumienia w obszernym opisie aresztowań studentów, że ci młodzieńcy studyowali nowe poglądy na życie.

Jest tedy wątpliwe, czy można nazwać tych studentów ofiarami ucisku, w jakim znajduje się nasz naród, chociaż niezawodnie ich sprawa skrupi się na narodzie.

Jednocześnie z obławą na studentów w Berlinie i Charlottenburgu, senat uniwersytecki w Lipsku uchwalił zaprosić wszystkie senaty wyższych naukowych zakładów w Niemczech do wspólnego wystąpienia przed rządem z prośbą, aby świadectwa maturalne ze szkół rosyjskich nie dawały prawa do wstępowania na uniwersytety niemieckie, ponieważ studenci ze szkół rosyjskich wnoszą do zakładów naukowych „niepożądane" zapatrywania.

Zdaje się więc, że zamierzonych rugów robotników polskich w Westfalii nie można łączyć z zamierzonemi rugami polskich studentów, pochodzących z pod rosyjskiego zaboru. Niemniej jednak słusznie utrzymuje prasa poznańska, że hakata połączy te sprawy, aby zaszkodzić polskiemu narodowi. „Zamiast się uczyć, przebudowujecie ustroje społeczne, panowie studenci! — woła *Orędownik* — Hr. Bülow będzie zacierał ręce!".

Ks. Henryk pruski w Ameryce.

Demokratyczne społeczeństwo Stanów Zjednoczonych okazało teraz ogromną sympatyę dla monarchizmu: ks. Henryk jest słońcem, w które wszyscy patrzą z uwielbieniem, a cześć oddają tym, którzy o niego otarli się podczas podróży na parowcu „Kronprinz Wilhelm". Jest to statek pasażerski, płynęli więc na nim razem z pruskim księciem różni Amerykanie, których on podczas szalonej burzy na oceanie zaprosił do swej kajuty na szampan, ponieważ była to rocznica urodzin Waszyngtona. Innym razem, także podczas burzy, książe stał na kapitańskim mostku i pomagał kapitanowi. Raz oprowadzał pasażerów po ubikacyach, zajętych przez maszyny, i tłómaczył szczegóły budowy okrętów. Słowem, był bardzo „liberalny" — jak się wyrażają różne *Blatty* — i tym liberalizmem, oprawionym w ramki tytułu „cesarska i królewska wysokość", podbił serca Jankesów. Swemu dlań sentymentowi dali oni na okręcie wyraz w ten sposób, że gdy na loteryę urządzoną na pokładzie na rzecz schroniska dla marynarzy dał książe ośm kartek ze swymi podpisami, oni płacili za te autogramy po 125 funtów szterlingów. Miliarder amerykański Armour — jeden z pasażerów — był raz zaproszony przez księcia na gawędę; siedzieli więc obok siebie na kanapce, Armour palił cygaro, a książe z małej fajeczki i rozmawiali; potem książe rzucił fajeczkę, a republikanin ją podniósł, schował na pamiątkę i pokazując ją potem w Nowym Jorku, budził zazdrość we wszystkich republikańskich sercach. Kiedy już było niedaleko lądu, powitał księcia na pełnem morzu amerykański admirał Evans: podpłynął on na swoim statku, krzyknął „hurra!" i swój galowy kapelusz z piórami wysoko podrzucił w górę. Kapelusz utonął, ale książe cokolwiek później mocno uścisnął rękę Evansowi za tę owacyę. Z tego powodu londyński *Times* zażartował, że Evans jest teraz w kłopocie, bo nie wie, czy odciąć rękę, zaszczyconą książęcym uściskiem, i oddać ją do muzeum narodowych pamiątek, czy też ręki nie odcinać, lecz nie myć jej do końca życia. W porcie nowo-jorskim flota wojenna grzmiała powitalnemi salwami, a handlowe okręty okazały swe zadowolenie rykiem semaforów. Dzienniki zapewniają, że książe widocznie był uradowany z tej harmonijnej owacyi. Na przystań wpuszczono tylko dygnitarzy, radę miejską z prezydentem miasta, ambasadę niemiecką i dziennikarzy, — więcej nikogo przez wzgląd na anarchistów. Miasto było okryte flagami, a wieczorem illuminowane. — Reszta znana jest Czytelnikom z telegramów.

Zapewniają, że książe pruski otrzymał od brata misyę polityczną, co dość prawdopodobne, bo nie ma zwyczaju, aby członkowie dynastyi jeździli odbierać z warsztatów nowe okręty. Misyą polityczną ma być uproszenie rządu Stanów Zjednoczonych, aby, jeżeli one się przyłączą do sojuszu anglo-japońskiego, Niemcy również mogły być do niego przyjęte, starają się zaś one o to za pośrednictwem Stanów dlatego, że bezpośrednio trudno im trafić do Anglii nietylko z powodu boerofilstwa, ale głównie dlatego, że na układzie anglo-niemieckim co do Chin Wielka Brytania się oparzyła, zaś Japonia widzi w Niemcach, którzy zajęli Kiao-Czau, a szantuńską prowincyę opanowują, niebezpiecznych przeciwników.

Galic. Towarzystwo kredytowe ziemskie.

Jutro zbierają się na doroczne obrady delegaci galicyjskiego Towarzystwa kredytowego ziemskiego, tej najstarszej i najpoważniejszej naszej instytucyi kredytowej, by zatwierdzić rachunki administracyjne tudzież wysłuchać sprawozdania Dyrekcyi z działalności w roku ubiegłym, 60-tym od założenia Towarzystwa kredytowego.

W sprawozdaniu tem podnosi Dyrekcya, że, jakkolwiek rok ubiegły był bardzo średni pod względem dochodu z ziemi, mimo to ziemianie, których majątki obciążone są pożyczkami Towarzystwa kredytowego, w przeważnej liczbie dopełnili swoich zobowiązań, a Dyrekcya nie była zmuszona uciekać się do energiczniejszych środków przymusowych nad te, które praktykuje w zwykłych latach. Zaległości ratalne zwiększyły się w ciągu tego roku o 14.756 koron. Jestto cyfra bardzo nieznaczna wobec tego, że stan pożyczek, udzielonych przez Towarzystwo kredytowe, był z końcem roku 1901 o 1,285.800 koron wyższy, niż z końcem roku 1900. Ogólna wartość imienna listów zastawnych galic. Towarzystwa kredytowego ziemskiego, będących w obiegu z końcem roku 1901, wynosiła 221.997.200 koron, i taką też była suma niespłaconych pożyczek. Z tej ogólnej sumy listów zastawnych było winkulowanych listów za 40,440.200 koron. Wszystkie zaległości w ratach wynosiły koron 2,724.852.

Fundusz rezerwowy Towarzystwa zwiększył się w ciągu roku 1901 o 164.107 koron i wynosi obecnie 5,157.884 koron. Kurs listów zastawnych Towarzystwa kredytowego, jak wogóle wszystkich listów zastawnych, był w ciągu roku ubiegłego niski, gdyż na giełdach panował przeważnie popyt o renty państwowe, od listopada jednak r. z. stale się podnosi i z końcem stycznia 1902 wynosił 93. Niewątpliwie byłby kurs listów Towarzystwa kredytowego znacznie wyższy, gdyby było powiodło się uzyskać dla nich zupełne uwolnienie od podatku rentowego. Wszelako Rada państwa zniżyła jedynie stopę procentową tego podatku z $1^1/_2$ na $^1/_2$% i odnośna uchwała weszła w życie z dniem 1 stycznia 1902 r. Jakkolwiek podatek ten tylko bardzo nieznacznie obciąża posiadaczy listów zastawnych Towarzystwa, mimo to szkodzi ich kursowi, utrudniając ich zbyt za granicą, ponieważ zagraniczni kapitaliści z zasady nie chcą nabywać papierów, obciążonych jakimkolwiek podatkiem.

Za notowanie kursu listów zastawnych Towarzystwa kredytowego na giełdzie wiedeńskiej musi dyrekcya uiszczać ogromną opłatę, w wysokości 20.000 koron rocznie.

Egzekucyi mobilarnych celem ściągnięcia zaległych rat było w toku w roku ubiegłym 451, z tego odwołano lub wstrzymano 368, pozostało więc na rok bieżący 83. Sekwestracyi zaś było w toku 90, odwołano 54, pozostało więc 36. Licytacyi było w toku 84, z tego wstrzymano, odwołano lub ukończono 54, pozostało więc 30.

Dyrekcya podnosi w swem sprawozdaniu, że parcelowanie majątków, obciążonych pożyczkami Towarzystwa, utrudnia wielce postępowanie egzekucyjne, gdyż co do każdej realności, utworzonej z parcel wydzielonych, trzeba osobno prowadzić licytacyę, co połączone jest z ogromnymi kosztami, a także zarząd takiej realności w razie nabycia jej przez Towarzystwo na licytacyi jest bardzo kosztowny. To też dyrekcya stara się w podobnych wypadkach ułatwiać spłatę pożyczki tak przez przyjmowanie spłat częściowych, jak przez dozwolenie stosownej zwłoki, niezbędnej do uregulowania stosunków, gdyż uważa licytacyę jako ostateczność i gdzie to tylko jest możliwe, stara się jej uniknąć. Mimo niebezpieczeństwa, grożącego nabywcy obciążonej pożyczką Towarzystwa realności z powodu łącznej hipoteki na wszystkich parcelach, posiadłości takie w wielu wypadkach znajdują nabywców. Owoż pożądanem jest, aby powszechnie zrozumiano, że grunt, obciążony pożyczką Towarzystwa, nie powinien być sprzedany inaczej, jak za poprzedniem porozumieniem się z dyrekcyą co do warunków uwolnienia tego gruntu z pod hipoteki.

Dyrekcya żadnych trudności, przeszkadzających parcelacyi, nie stawia, tylko żąda, jako warunek uwolnienia z pod hipoteki, takiej spłaty, aby reszta pożyczki na pozostałej majętności tabularnej miała bezpieczeństwo statutem wskazane. Jeżeli zaś pożyczka jest już częściowo spłaconą, a zamierzone wydzielenie wcale bezpieczeństwa statutowego pożyczki nie uszczupla, zezwala nawet na bezciężarowe wydzielenie bez żadnej spłaty. Gdyby jednak — jak podnosi dyrekcya w swem sprawozdaniu — ani przed wydzieleniem, ani po dokonanem wydzieleniu nie nastąpiła spłata przez dyrekcyę wymagana, byłaby dyrekcya zmuszona, ilekroć dla bezpieczeństwa pożyczki potrzebnem to będzie, wdrażać postępowanie licytacyjne względem takich realności, z parcelacyi powstałych, dla ściągnięcia całej wierzytelności, obciążającej łącznie wszystkie ciała hipoteczne, w drodze parcelowania dóbr utworzone. Przeprowadzenie postępowania licytacyjnego do ostatecznych wyników, tj. do sprzedaży realności i wyrugowania posiadacza, musiałoby spowodować zupełną ruinę majątkową nabywcy takiej realności.

Gdy widocznem jest, że nabywcy takich gruntów często wcale nie liczą się z konsekwencyami nabycia parcel, obciążonych hipotecznie, a zwłaszcza hipoteką łączną dla pożyczki Towarzystwa, tem większą odpowiedzialność ponoszą ci, którzy *interweniują* w sprawach tego rodzaju, a znając doniosłość prawną takiego obciążenia, zaniedbują pouczyć nabywcę, na co się naraża przy kupnie parceli z dóbr tabularnych, pożyczką Towarzystwa obciążonych, jeżeli nie uzyska od dyrekcyi Towarzystwa deklaracyi, zezwalającej na bezciężarowe wydzielenie nabytej parceli.

Liczne są jednak także wypadki, w których właściciele dóbr udają się do dyrekcyi o uzyskanie uwolnienia z pod hipoteki parcel, które mają być wydzielone. W roku ubiegłym np. wniesiono takich podań 374, a dyrekcya zwolniła z pod hipoteki obszar 19.454 morgów.

Na końcu swego sprawozdania podaje dyrekcya Towarzystwa do wiadomości delegatów wyrok, wydany przez Najwyższy Trybunał w procesie, wytoczonym Towarzystwu przez emerytowanego urzędnika Tow. kredytowego p. Juliana Lewickiego, znanego w mieście naszem z powodu agitacyi, jaką przez szereg lat prowadził celem podniesienia dzielnicy Żółkiewskiej i zniesienia wału kolejowego, łączącego Podzamcze z głównym dworcem. Tego p. Lewickiego spensyonowała dyrekcya za zaniedbanie obowiązków służbowych i wyznaczyła mu odpowiednio do lat służby emeryturę 575 złr. rocznie. P. Lewicki, czując się tem pokrzywdzonym, zaskarżył dyrekcyę do sądu o zapłacenie mu odszkodowania w kwocie 7.791 koron, a nadto o zapłatę mu stałej dożywotniej pensyi po 341 koron miesięcznie. W pierwszej i drugiej instancyi uzyskał p. Lewicki wyrok dla siebie korzystny, wszelako Najwyższy Trybunał zniósł te wyroki i orzekł, że p. Lewickiemu nic się od Towarzystwa nie należy ponad przyznaną emeryturę, gdyż orzeczenie dyscyplinarne, wydane przeciw niemu przez dyrekcyę, było uzasadnione w statutach. Nadto zasądził go Najwyższy Trybunał na zapłacenie Towarzystwu kosztów procesu w kwocie 641 koron.

Pod gwiaździstym sztandarem.

Nasi emigranci w Stanach Zjednoczonych.

Pionierami polskiej emigracyi do Stanów Zjednoczonych byli Kaszubi z okolic Pucka i Gdańska, którzy przed pół wiekiem nowe sobie w Ameryce założyli siedziby. Byli to po największej części rzemieślnicy, którym początkowo powodziło się nieszczególnie. Żyli z dnia na dzień, nie odkładając zapasów na jutro, wielu z nich jednak wywędrowało z miast na fermy i tam dzisiaj ich synowie do zamożnych należą gospodarzy.

Dopiero po wojnie domowej, na początku siódmego dziesięciolecia ubiegłego wieku, zakwitnął w Stanach Zjednoczonych przemysł na dobre, a emigracya polska szerokim tam napływać poczęła strumieniem.

Przybywszy do wybranego przez siebie miasta, emigranci poszukiwali rodaków i odnaleźli Kaszubów, przytulonych do niemieckich kościołów, gdzie za opłatą wyznaczono im ostatnie ławki, nie dając im żadnego znaczenia i głosu w parafii, ani prawa zasiadania w ławkach, zajmowanych przez Niemców. Traktowano ich jako ludzi mniej wartościowych i brano od nich chętnie pieniądze, nie dając im za to równouprawnienia w parafii. Zaznaczamy jednak, że nie było to winą księży niemieckich, którzy na brak ofiarności Polaków dla kościoła i księdza nie mogli narzekać.

Skoro nowoprzybyły chłop polski przypatrzył się nieco obcemu miastu, poznał jego zwyczaje, znalazł zarobek i poczuł niejako grunt pod stopami, ogarniała go zwykle tęsknota za swoimi, czuł się obcym, samotnym i bezradnym. Starał się tedy sprowadzić za sobą swoich krewnych lub znajomych. Pisał więc

---

169)

HURAGAN

Powieść historyczna
przez
Wacława Gąsiorowskiego.

(Ciąg dalszy).

— A to skaranie istne! Licho jakieś waćpana przyniosło! Ani kroku dalej!...

— Mamo dobrodziejko!...

— Dalej! Fora ze dwora

— Kolka!...

— Idźże do ambulansu! Niech wam stary Gulicz da dryakwi!

— Kruszynkę!... Królowo!...

— Ani kropli!... Święty Antoni! Toż ich się cały regiment jawi! Pani kap... Michałko! Baczność na tyle pozycyi!...

Żubrowa usunęła się pod płótno furgonu, tak, że zasłoniła cały w nim otwór. Porucznicy z kapitanem Rybińskim, śmiejąc się i żartując, zacieśniali pierścień około markietanki. Bzura wciąż parlamentował.

— Królowo! Wejrzyj miłosiernem okiem na sromotną pustkę!... Po kapeczce!...

— Nie dam! Nie mam!... Ilu waćpanów?... Dwóch, czterech, sześciu, dziesięciu!... Ani myśli! Jakem Muszyńska z domu! Gdzie? Skąd?... Wody chyba z pieprzem!...

— Krewniakowi nie odmawiaj!...

— Komu? Jakiemu krewniakowi?

— Przecież mówiłem... jeden Bzura o mały włos nie pojął za żonę Muszyńskiej!...

— Niech mu będzie na zdrowie! Dobrze zrobił — despekt mnie ominął!...

— Królowo! Patrz, ilu zacnych młodzieńców stoi przed tobą!...

— Pani Żubrowa! — ozwał się Kaliński. — Jeżeli nie, to choć uszanuj przybyłych świeżo do legii towarzyszów, niechże złego nie mają o tobie mniemania!...

— Pewnie, psia mać! — huknął basem Stadnicki. — A nie, to szturm! Za dwie minuty furgon nasz!...

— Wiwat! Albo — albo! Wybierajcie! — odezwały się głosy.

— Ehe! Więc to tak?... Taka cnota przyjechała!... Hola — waćpanowie — nic! Niema! A to szarańcza istna! Czy to ja mam winnicę pod nosem? Kawalerya jeden w drugiego jak dęby — a miast samym głową nakręcić, to ci do mnie!...

— Przecież nikt darmo nie chce!

— Darmo! Masz kawalerze napoleony, to je zjedz, bo co u mnie sklepik zamknięty!...

Porucznicy spojrzeli po sobie zbici z tropu. Jeden Bzura nie tracił fantazyi, oparł się o furgon i szepnął półgłosem:

— Et! Żeby tu był imć Żubr!

Markietanka westchnęła ciężko.

— Byłoby inaczej! — ciągnął Bzura.

— Pewnie! Garść miał taką uchwytną, że respekt czuj!

— Co tam garść! Człek poczciwy! Krzywdyby nikomu nie zrobił!...

— Oj, święta prawda! Mój stary! Gdzie on teraz nieborak?...

— I samby pewnie powiedział: Daj im, nie skąp! Bieda z nędzą!... Czczo w sercu, w gębie, w żołądku!...

— I zełgałeś waćpan! Bo co mój stary do gadania nie był! No, ale co tam... ma być nędza — to i ten garniec jej nie uratuje!... Po kubeczku!... Niech tam — inaczej wam się, panowie oficerzy, nie opędzę!...

— Wiwat, nasza Żubrowa!...

— Zatracone to, szalone! Hej! Pietrek, a wypłuknijno kubki! Zwijaj się żywo!...

Porucznicy, śmiejąc się i żartując, porozsiadali się około ogniska. Markietanka przecierała kubki a rozlewała wino.

— Czary, dalipan! — mruczał kapitan Rybiński. — Gdzie u marszałków w kredensie chuda fara — ale co u pani Żubrowej... wszystko się znajdzie!... Kiedybyś nie zajrzał...

— Ba! Człowiek też, dzięki Bogu, ma głowę na karku!...

— A Michałka w furgonie! — dorzucił Bzura.

Markietanka pogroziła mu palcem.

— Co tego to nie lubię!... Ja waćpanu do tornistra, ani do mantelzaków nie zaglądam!

— Zdrowie naszej markietanki! — przerwał wesoło Kaliński.

— Wiwat!...

— Hola! Zaraz!... Nie kaleka jestem! Niechże się trącę!...

Baba schwyciła za kwartę — nalała sobie wina i pociągnęła mocno.

— Królowo! Z nóg nam się zwalisz!...

— Przedni trunek! Grzeje, psia mać!...

— Zdrowie naszych towarzyszów! Niech żyją szwoleżerzy!

— Widzisz, królowo!... Panowie porucznicy do nas prosto z gwardyi!...

Baba strzepnęła rękoma.

— Co powiadacie? Szwoleżerzy!... Gwardya!... Święty Antoni!... To.... to może waćpanowie znacie.... rety!... kapitana.... Dziewanowskiego?...

— Byliśmy pod nim!

— Jezusie!... Gdzie? Rozstąp się ziemio!... Pani kapit.... Bodaj mi język kołkiem stanął.... Michałku! A tfy!... Kapitana Dziewanowskiego podkomendni!... Górą nasza!...

Baba śmiała się przez łzy, a podskakiwała z uciechy. Porucznicy patrzyli nie rozumiejąc wybuchu radości. Żubrowa tymczasem dopadła Stadnickiego.

— Mówże mi waćpan! Gdzież jest!... No, dalej, co tam! Masz pusty kubek! Daj, niech ci naleję!... Więc.... jest w szwoleżerach? Co?... Mówże waćpan!

Stadnicki nasępił się.

— I cóż wam powiem.... psia mać! Zacna dusza!... Żołnierz, choćbyś szukał, drugiego nie znajdziesz!... Kochaliśmy go jak ojca, jak brata... Nigdy o sobie, zawsze o innych myślał!...

— Gdzież, gdzież on?...

— Cha!... Cóż szarża.... zwaliło go!...

Markietanka odsapnęła ciężko:

— Mówcie, panie poruczniku!... Wszystko!...

Oficerowie skupili się około Stadnickiego.

— Krótkie moje opowiadanie będzie!... Słyszeliście o tym piekielnym wąwozie?... Pół szwadronu poszło w strzępy! Dziewanowski prowadził trzecią kompanię na froncie. Łomot! Chlasnęła mu kula nogę. Jeszcze rwał na baterję! Hiszpanie plunęli z armat w same oczy. Granat strzaskał mu ramię! Nadjechał cesarz.... Wzięli do ambulansu. Krzyż oficerski, szlufy pułkownika, dożywocie, opieka niby, złota garściami — wszystko było — tylko na te nagrody życia nie stało.

Stadnicki urwał nagle, szarpiąc bokobrody. Słuchacze zapadli w ponure milczenie.

Naraz po za nimi rozległ się głuchy jęk. Tuż przy furgonie chwiała się bezwładnie drobna postać młodego legionisty.

Markietanka z krzykiem rzuciła się z pomocą — porucznicy porwali się na nogi. Młodemu żołnierzowi wlano w usta wina, zwilżono mu skronie wodą, rozluźniono opięty kołnierz pod szyją.

Legionista odzyskiwał przytomność. Żubrowa jeszcze nie mogła się uspokoić.

— Olaboga! Tyle nieszczęścia!... Biedna sierota!... Tożem się dopytała!... Święty Antoni, za grosz w starym łbie nie ma zastanowienia!... Naści jeszcze wina!... Jakie to blade biedactwo! Dycha sobie!... Ooo!... Czegóż się tak waćpanowie gapicie.... *sacrébleu?!...*

Porucznicy stali nieporuszeni — pochłonięci niezwykłym widokiem, który oczom ich się przedstawiał.

Chłopięca twarz młodego legionisty wydawała im się z początku tylko dziwnie delikatną, niezwykle pociągającą, lecz gdy w miarę odzyskiwania przytomności zabarwiła się rumieńcem, gdy przysłonione długiemi, ciemnemi rzęsami oczy zadrgały życiem, a z z pod osuniętego kaszkietu wychylił się promień lśniących, ciemnych włosów — porucznicy spoglądali w milczącem zdumieniu na to zjawisko.

(Ciąg dalszy nastąpi)

listy do „starego kraju“, malując w nich swoje położenie w jak najjaśniejszych barwach. A kiedy wreszcie udało mu się namówić kogo na tę daleką drogę, posyłał mu opłaconą kartę na całą podróż i potem ściągał z niego należność do ostatniego centa. W ten sposób rosła emigracya w Stanach Zjednoczonych nawet bez pośrednictwa agentów emigracyjnych, bo każdy wychodźca stawał się tam niejako takim agentem.

Nowy przybysz znajdował już przygotowane dla siebie pomieszkanie z najpotrzebniejszymi sprzętami, więc po sutych libacyach z krewnymi, starymi i nowymi znajomymi, na drugi dzień udawał się do szapu (*shop*, fabryka), gdzie już czekała go przygotowana dlań robota. Zarobek tygodniowy wynosi od $7^1/_2$—9 dolarów (dolar równa się pięciu koronom) i więcej, jeżeli emigrant jest zwykłym robotnikiem, dwa i trzykroć tyle, jeśli jest rzemieślnikiem. Z tego wydaje mniej więcej 4 dolary na tydzień, a resztę oszczędza. Skoro spłaci długi i znajdzie się w posiadaniu około 250 dolarów, zamyśla o budowie domu własnego. Ogląda tedy loty (*lot*, plac budowlany) okoliczne, idzie do ich właściciela, godzi się na cenę, która w rozmaitych miastach waha się między 500 a 800 dolarami, wpłaca 50 dol., a resztę oddaje ratami w miarę możności, płacąc po siedm procent od sumy długu. Załatwiwszy się z kupnem placu, poszukuje cieśli, najczęściej Polaka, i z nim się o budowę układa. Dom kosztuje od 500 do 800 dol., trzeba więc poszukać kredytu, którego zawsze najchętniej użycza sprzedawca placu, zatrzymuje bowiem tytuł własności aż do spłaty ostatniego dolara, ma pieniądze, ulokowane na wysoki procent, i nic nie ryzykuje, bo w razie bankructwa dłużnika pozostaje mu dom, którego szacunek dwakroć przewyższa pożyczoną sumę. Spłata długu trwa 6 do 10 lat przy dobrych warunkach pracy i zabiegliwości.

Domy prawie wszystkie są drewniane: najtańsze, tzw. szyndy (*shanties*), zawierające tylko kuchnię i jedną izbę, już zanikają powoli. Domy emigranckie, których typ dziś się już ustalił, są budowane na dwie familie i każde w nich mieszkanie posiada trzy izby (*rooms*). Dzierżawa z połowy domu przynosi około 50 dolarów rocznie. Dom taki stawia bardzo często, świadom potrzeb emigrantów naszych, zręczny spekulant, zamierzając z czasem, gdy się okolica zabuduje, przybudować sklep na froncie i zająć się handlem, porzuciwszy pracę fabryczną. Ponieważ grunt pod budowę domu ma zwykle 30 stóp frontu, a sto do stu kilkudziesięciu głębokości, zatem zostaje dość miejsca na ogródek, w którym obok winogron i drzew owocowych hodują się kwiaty i warzywa.

Bogactwem naszych emigrantów są podrastające dzieci. Od czternastu lat chodzą do fabryki, zarabiając z początku po dwa dolary, a później, stosownie do wieku i siły, aż do 10 dolarów tygodniowo, to też rodzice, posyłający na zarobek czworo lub pięcioro dzieci, mogą składać oszczędności. Dziewczęta chodzą do lżejszej pracy, jak np. do fabryki cygar, zapałek, krzeseł, guzików itp. Zarobek ich jednak jest również znaczny. Te jednak nie wszystkie pieniądze oddają rodzicom, lecz znaczną z nich część przeznaczają na stroje. Do strojów bowiem Polki amerykańskie mają wielkie zamiłowanie. Jako przykład tego, niech posłuży następujące wydarzenie: pewien wędrowny kupiec udał się z towarami do Dakoty, gdzie w okolicy Minto kilkudziesięciu polskich osiadło fermerów. Zabrał z sobą rzeczy, jakie uważał za najpotrzebniejsze dla polskich niewiast. Towar jego jednak nie znalazł chętnych nabywczyń, ponieważ nie był dosyć elegancki. Tylko jeden sealskin (modne futerko) za 130 dolarów zostało kupione odrazu. Kupiec zamówił zaraz dwadzieścia nowych sealskinów i te z równą łatwością rozsprzedał. Dziewczęta polskie zaraz po przybyciu do Ameryki zarzucają strój wiejski i przybierają się w suknie wielkomiejskie, zaczynają inaczej czesać włosy, każą się fotografować i posyłają swoje obrazki do starego kraju. Żaden trzewik nie jest dla nich za drogi, żaden kapelusz za elegancki. Szwaczki zarabiają dobrze, to też jest ich tu mnóstwo. Moralność dziewczyn, pracujących po fabrykach — zresztą jak wszędzie — nie jest najlepszą. Siedząc w tramwaju, w czasie, kiedy robotnice wracają z fabryki, można się nasłuchać rzeczy, od których uszy spuchnąć mogą.

Skoro liczba Polaków przy którymkolwiek kościele niemieckim zbliżyła się do dwustu, zaczynają myśleć o zbudowaniu własnej świątyni. Z początku w tym względzie było do zwalczenia wiele trudności zarówno ze strony księży niemieckich, którzy nie chcieli się pozbyć dochodów od Polaków, jak i ze strony biskupów, którzy nie byli radzi z wielojęzycznych parafij, nie posiadali bowiem księży Polaków, a zresztą o Polakach wogóle mieli jak najgorszą opinię, urobioną właśnie na podstawie sprawozdań ich dotychczasowych duszpasterzy. Ale gdy między emigrantami znalazł się jaki ksiądz polski, nieraz choćby z nienajlepszem *exeat* ze swojej dyecezyi, zaraz zaczynał chodzić około interesu Polaków i własnego: biskupom nie dawano spokoju, posyłano deputacye za deputacyami, używano prasy do pomocy, aż wykołatano pozwolenie na budowę kościoła.

Ksiądz, który był na miejscu i starał się o pozwolenie, zostawał też zwykle proboszczem i musiał kościół sam budować. Pierwszą jego czynnością było iść do okolicznych właścicieli gruntów (landlords) i zapytać, czyliby który darmo gruntu pod kościół nie oddał? Najczęściej udawało się to bardzo łatwo, bo jeżeli właściciel posiadał np. sto placów budowlanych, których nie miał nadziei sprzedać w najbliższym czasie i jeżeli wartość tych placów wynosiła w danym dniu przypuszczalnie 40 tysięcy dolarów, to po wybudowaniu kościoła wartość placów wzrastała o 50 prc. i można je było rozsprzedać wszystkie w przeciągu lat kilku. Darowawszy więc dziesięć placów pod kościół, właściciel gruntów robił jeszcze znakomity interes, bo zarabiał na czysto 35 prc. Gdyby zaś ofiary odmówił, wtenczas ksiądz zwróciłby się w inną stronę, a on pozostałby przez długie lata na pustkowiu.

Dostawszy grunt za darmo, ksiądz obchodzi wszystkich swoich parafian i zbiera składkę na kościół. Otrzymuje od każdego bez wyjątku, według zamożności, od 10 do 100 dolarów. Zebrawszy w ten sposób około 5 tysięcy, rozpoczyna budowę. Potrzebny jest kościół, szkoła, plebania, a często i domek dla sióstr nauczycielek, wszystko z drzewa, razem kosztujące około 20 tysięcy dolarów. Pieniądze daje bank, a po ukończeniu budowy, wszystko odbiera biskup na własność dyecezyalną, procenty zaś (7) płaci parafia. Kościół jest zwykle bardzo obszerny, aby możliwie jaknajdłużej zdołał pomieścić napływających emigrantów, co przedewszystkiem leży w interesie księdza, gdyż w ławce kościelnej każde miejsce kosztuje 6 dolarów rocznie. Oprócz zapłaty za ławkę, zbiera się na kościół w każdą niedzielę zwyczajną kolektę, nadzwyczajną co miesiąc, a raz do roku chodzi ksiądz po wszystkich domach i zbiera większe sumy (od 5 do 10 dolarów na rodzinę). Z dochodów opłaca się procenty bankowe, pensyę księdza (wynoszącą zwykle 800 dolarów), organisty, opał, etc. Utrzymanie księdza składa się z owej pensyi, mieszkania, opału, światła i akcydensów, które przynoszą najwięcej. Za chrzest płaci się dolara, za ślub dziesięć, za pogrzeb 2 do 25 dolarów, za wypominki jednego nazwiska w niedzielę dolara rocznie. W ludnych parafiach dochód proboszcza przewyższa 10 tysięcy dolarów. Na szkołę płacą rodzice po pół dolara miesięcznie od każdego do niej posyłanego dziecka.

Życie jest względnie dość tanie: mięso kosztuje od 5 do 15 centów (cent amerykański równa się pięciu naszym groszom) funt, chleba bochenek od 3 do 5 cent., odświętne ubranie dla mężczyzny od 9 do 12 dolarów. Kawaler za trzy dolary tygodniowo otrzymuje stancyę i stół dostatni, z mięsnemi potrawami, trzy razy dziennie.

Wśród przedsiębiorstw handlowych w nowej kolonii polskiej pierwsze miejsce zajmuje karczma, salun (saloon), jak się tu pospolicie nazywa; tych znajduje się tu bardzo wiele, mniej więcej jedna na dziesięć domów. Potem idą: składy wiktuałów, tzw. groserie (groceries), jatki mięsne, piekarnie. Na tem się prawie kończy handel polski. Tylko w większych miastach znajdujemy w rękach naszych składy ubrań, towarów łokciowych, pracownie fotograficzne, apteki, a nawet browary. Milionów nie dorobił się dotąd żaden Polak, za to średnio zamożnych, posiadających majątku od 30 do 150 tysięcy dolarów, jest liczba dość znaczna.

Zmysł organizacyjny mamy wysoko rozwinięty, sądzę bowiem, że w większych koloniach nie ma nawet 2 prc. ludzi, którzyby nie należeli do jakiego bractwa lub stowarzyszenia. Piszę to po jedenastoletnim pobycie w Detroit i okolicy; a w chwili obecnej Związki polskie w Ameryce rozwijają się wciąż.

Wszelkie towarzystwa, czy to świeckie, czy kościelne, mają za główny cel udzielać członkom zapomogi w razie choroby lub śmierci. Na wypadek choroby płacą od 4 do 5 dolarów tygodniowo, w razie zgonu członka wszyscy pozostali składają na rzecz wdowy lub sierót po jednym dolarze, o ile bractwo lub towarzystwo nie należy do innej, większej organizacyi. Takich wielkich zespoleń jest kilka. Najpotężniejszy ze wszystkich: Związek narodowy polski, liczący przeszło 400 grup i 30 tysięcy członków, wypłaca pośmiertnego na osobę 900 dolarów. Z kilku stowarzyszeń kościelnych wymieniam: Zjednoczenie katolickie w Chicago, Unię, Stowarzyszenie w Milwaukee, takież w Detroit, w Buy City, które wszystkie, razem wzięte, nie mają połowy tylu członków, co Związek. Posiada on własny dom w Chicago, wartości około 30 tysięcy dolarów, gdzie się mieszczą wszystkie biura zarządu, redakcya i drukarnia pisma tygodniowego *Zgoda*, muzeum i wielka sala zebrań.

Dr. Józef Iłowiecki w *Kraju*.

Rada państwa.

(*Telegram „Przeglądu“*).

Wiedeń 27 lutego. Wczoraj rozpoczęła się dyskusya szczegółowa nad budżetem. Pozycyę „najwyższy dwór“ referował p. Henzel.

Radykali czescy Kubr i Choc oświadczają, że będą głosowali przeciw tej pozycyi.

Następnie przyjęto wniosek o zamknięcie dyskusyi.

Generalny mówca *contra* socyalista Hauck jest zdania, że prezydent ministrów powinien postarać się, aby część funduszów, przeznaczonych na tę pozycyę, mianowicie jaki milion koron przeznaczono na cele ubezpieczenia na starość i na wypadek niezdolności do pracy.

Generalny mówca *pro* p. Dzieduszycki sądzi, że ze względu na dotychczasowy zwyczaj, by przy dziale „najwyższy dwór“ nie było dyskusyi, odpowie życzeniu przeważnej większości Izby, jeżeli oświadczy, że nie widzi powodu, dlaczegoby głosowanie za tą pozycyą potrzebowało być motywowane.

Po krótkiem przemówieniu referenta przyjęto wymienioną pozycyę znaczną większością.

Z kolei referował p. Henzel o rozdziałach: „trybunał państwowy“ i „rada państwa“.

Poseł Conci uzasadnia żądania Włochów, domaga się utworzenia uniwersytetu włoskiego w Tryeście, omawia sprawę autonomii południowego Tyrolu.

Prezydent hr. Vetter przywołuje mówcę kilkakrotnie do rzeczy. Posłowie Choc i Fresl protestują przeciw temu, wołając do prezydenta: „Wstydź się pan!“

P. Conci w końcu oświadcza, że stronnictwo jego głosować będzie przeciw tytułom „Rada państwa“, „Trybunał państwowy“ i przeciw funduszowi dyspozycyjnemu. Poseł czeski Brzorad wywodzi, że obecny parlament absolutnie nie może normalnie pracować. Tylko przez odebranie tej Izbie szeregu agend i przez rozszerzenie kompetencyi sejmów stworzyć się da zdrowa podstawa dla parlamentu austryackiego. Mowca krytykuje postępowanie prezydenta Izby, który nie przyjmuje do protokołu czeskich mów i interpelacyj. P. Noske wskazuje na to, że obstrukcyę po raz pierwszy zainaugurowali Czesi. Mowca zwraca się przeciw nadużywaniu nietykalności poselskiej przez rzucanie oszczerstw na osoby, stojące po za parlamentem. Następnie rozprawę zamknięto. Jeneralny mowca *contra* p. Formanek oświadcza, że Czesi nie uznają legalności tego parlamentu.

Mowca jeneralny *pro* dr. Offner zaznacza konieczność utworzenia trybunału dla weryfikacyi wyborów, żąda oddania spraw dyscyplinarnych urzędników i nauczycieli pod kontrolę trybunału państwowego, oraz rozszerzenia judykatury trybunału administracyjnego także na sprawy karno-policyjne. Ubolewa, że wyroki trybunału państwowego nie mają egzekutywy i domaga się rychłego przeprowadzenia reformy postępowania administracyjnego.

Sprawozdawca p. Henzel oświadcza się za zmianą regulaminu w tym kierunku, aby przyzwoitość w Izbie nie była narażona, i aby także ustało nadużywanie nietykalności poselskiej. Popierając sprawę polepszenia płac służby w parlamencie, mówca prosi o przyjęcie omawianych pozycyj. W głosowaniu pozycye te przyjęto i dyskusyę przerwano.

Z kolei minister sprawiedliwości Spens-Boden odpowiada na szereg interpelacyj, między innemi na interpelacyę p. Wassilki z powodu rzekomo obraźliwego wyrażenia się prokuratora wiedeńskiego o stosunkach prawnych na Bukowinie w procesie przeciw Szopsie Brücknerowi. Minister bierze w obronę prokuratora, który jedynie stwierdził, że na Bukowinie duże koła ludności zostały skorrumpowane.

W odpowiedzi na interpelacyę p. Barwińskiego w sprawie systematycznego wyzyskiwania ludności ruskiej w górskich okolicach Galicyi wschodniej i na Bukowinie przez spekulantów żydowskich, minister wskazuje na podjęte w tym względzie przez sądy usiłowania. Polepszenie stosunków mogłoby nastąpić, jeśliby wszystkie do tego powołane czynniki skłaniały ludność wiejską, aby w razie potrzeby zwracała się do porządnych instytucyi kredytowych, zamiast do spekulantów.

Na tem o godzinie 6 wieczorem posiedzenie zamknięto. Następne dziś o godzinie 10 przed południem.

Wiedeń 27 lutego. Koło polskie obradowało na wczorajszem kilkugodzinnem posiedzeniu nad sprawą wydalenia z granic Austryi dwóch słuchaczy politechniki lwowskiej. Dyskusyę i uchwałę uznano za poufne.

„Manru“ w Zurychu.

W teatrze miejskim w Zurychu wystawiono tymi dniami operę Paderewskiego. Oto, co nam piszą o tem przedstawieniu.

Operę wystawił na swój benefis kapelmistrz Lotar Kempter i przyznać mu należy więcej, niż dobre chęci, bo, gdyby odpowiednim rozporządzał materyałem tak orkiestrowym, jak wokalnym, prawdopodobnie osiągnąłby był wielki sukces. Ale ten materyał, ten materyał! Frida Brauer w roli Ulany była po prostu okropną, a kołysanką, którą w drugim akcie jedynaka swego czy jedynaczkę uczęstowała, można było snadnie kilka tuzinów dzieci rozbudzić, na długo nawet odbierając im do snu ochotę, ale uśpić na pewno ani jednego, tak strasznie krzyczała; jak znowu nie urodził się chyba jeszcze ten cygan, co by się Łucyi Gerhäuser, jako Azie, dał usidlić.

Już to wogóle role męskie wypadły znacznie lepiej, rola zaś Uroka (Hans Rasil) wprost bez zarzutu. Piotr de Meyer, jako Manru, śpiewał zapewne jako tako, ale po zatem — nie widział cygana. Chóry, balet, jeszcze gorzej, zwłaszcza balet prawie do śmiechu pobudzał jakimś „węgierskim tańcem“ chłopskim, bo tak stało na afiszu; a że jednocześnie jest na nim wzmianka o wiosce w Tatrach, *anticipando* zatem rozstrzygnięto spór o Morskie Oko.

Na p. Nossiga uderzyła cała miejscowa krytyka za libreto, „Dichtungiem“ pompatycznie na afiszu zatytułowane, a na miejscu tak widocznem, iż Paderewski ze swoją „muzyką“ na szarym znalazł się końcu. Nam wiadomo, o ile „Dichtung“ powyższy oryginalnym jest w pomyśle, tu zaś wytknięto mu, i słusznie, mniemam, wielkie ubóstwo akcyi i monotonię motywów psychologicznych. Wszystkie figury z chwilą podniesienia kurtyny na tym samym stoją punkcie, na którym się z opuszczeniem jej znajdą, nie pomaga tu nawet „sztuczka“ z napojem miłosnym, nienowa i niezręczna, a zgoła niepotrzebna i jeden to dla mnie z dowodów rzetelnego talentu Paderewskiego, iż go ta martwota podkładu nie pokonała sobą. Bo „Manru“, toć nie opera *à la* Bellini, ale dramat muzyczny w najnowszym stylu, a jako taki, organicznie związany z libretem.

Nie pokonała jednak, skoro nawet tu w Zurychu, gdzie na drugiem już przedstawieniu niepośledniego dzieła trzy czwarte miejsc świeciły pustkami, dosłyszałem poza sobą w czasie trzeciego aktu uwagę: „Aber das ist ja doch fein!“ Prawda, iż w tym trzecim akcie i orkiestra rozruszała się wreszcie, z początku jakby niepewna swego i głuszona, w pierwszym akcie zwłaszcza, rodzajem okapu, który ją w zurychskim teatrze od sceny pokrywa.

Po tem, co w prasie naszej fachowe pióra o wartości muzycznej dzieła orzekły, ja, dyletant, od siebie nic oczywiście dodać nie mam, chyba raz jeszcze stwierdzić wysokie zadowolenie, jakiem mnie wysłuchanie opery przejęło, zadowolenie już nietylko z piękności dzieła sztuki płynące, ale i z przekonania, iż utwór ten nasz swojski, stanowczo z najświetniejszemi kompozycyami scenicznemi ostatniej doby o lepsze walczyć ma prawo.

Krytyka zurychska stronie muzycznej utworu zarzuca także monotonię i przewlekłość, jakoteż nadużywanie pewnych figur, czy efektów (trójgłosy), ale, jak już nadmieniłem, źródła złego dopatruje się w brakach libretta. Zresztą słusznie zaznacza, że dzieło takie, jak „Manru“, po jednorazowem wysłuchaniu nie daje się osądzić, za dużo w nim na to i wiedzy, i talentu i nadzwyczajnej w opracowaniu sumienności.

Na dokończenie słówko jeszcze uwagi ze względu na libretto. W pierwotnej jego redakcyi opera kończyła się zemstą Orosa, króla cygańskiego, który strąca „Manru“ w przepaść za odebraną mu buławę i serce Azy. Pan Stanisław Niewiadomski uznał w *Bibliotece warszawskiej* zakończenie to za niewłaściwe, dowodząc, iż zemsta z prawa należy się Urokowi, jako wybitniejszej w akcyi osobistości, bez względu na fizyczną ułomność jego i wcale nie bohaterskie usposobienie. P. Nossig poszedł widocznie za wskazówkami powyższemi, bo w Zurychu nie Oros, ale Urok zemstę wywiera. No i, zdaniem mojem, chybił. Bo oto Oros w dramacie znalazł się obecnie, jak bez głowy, a brak ten odczuwa się dotkliwie, tem więcej, że temperament cygana, psychologicznie rzecz biorąc, takiego właśnie, jak pierwotne, domaga się rozwiązania. Pełne rozwiązanie trudności znalazłoby się, sądzę, dopiero w skombinowanej akcyi Orosa z Urokiem, ale tu konieczną byłaby interwencya Paderewskiego i pewne dodatki czy zmiany w osnowie muzycznej dzieła. Że zaś pomysł p. Niewiadomskiego jest niewłaściwym, to przedewszystkiem dlatego, iż fizycznem jest niepodobieństwem, aby Urok w ciągu minuty przebył tę podróż, którą cyganie w górach odbywają w ciągu pół godziny, a następnie, aby ten Urok, który w II akcie ucieka od cygana pełen strachu przed jego potęgą, mógł w akcie III gołemi rękami pokonać tego samego cygana. Rozwiązanie to, zaprojektowane przez p. Niewiadomskiego, jest tak niesmacznem, że ilekroć je widziałem, tylekroć odczuwałem prawdziwe oburzenie, że można było tak zepsuć utwór Paderewskiego.

Co i o czem piszą.

Znamienną cechą współczesności, czyli jak brzmi termin „modernizmu“ w sztuce i literaturze, jest krańcowość. Moderniści, albo coś bezwzględnie potępią i nieomal z błotem zmieszają, albo zaczną apoteozować aż do... bezwstydu. W tym ostatnim kierunku, usłużni przyjaciele, o ile są z jednej i tej samej kliki — a kliki i koterye modernizm znakomicie wydoskonalił — dochodzą do... nadzuchwalstwa. Geniusze jednodniowe czy jednoroczne, tworzą się teraz na poczekaniu, tak... *à la fourchette*. Wbrew stałej i jedynie logicznej zasadzie, że na geniusza pasuje się ktoś *ex unanimi consensu* — modernizm narzuca ogółowi geniuszów i różnostronne talenty czy talenciki każe uwielbiać jako świeczniki sławy narodowej. Tak poniekąd uczynił i p. Kazimierz Tetmajer, sadzając na tronie poezyi polskiej p. Wyspiańskiego. Gdy znów ten ostatni wywdzięczając się posadzi obok siebie p. Tetmajera, a obaj razem powołają do *trinum perfectum*... pana... Przybyszewskiego — Mickiewicz, Słowacki i Krasiński przez ową trójkę nadzuchów zostaną zdetronizowani. Ale żart na stronę. Przeciw nadmiernemu wyśrubowaniu przez klikę koleżeńską „Wesela“, zaczyna się budzić reakcya. Oto co pisze Czesław Jankowski w *Kraju*.

„...Ci panowie z Krakowa są chyba zahypnotyzowani. Myśl pobratania się z chłopami dobrą jest o tyle, o ile my możemy ich uszlachcić, ale bratanie się z nimi dlatego, aby chłopić siebie i dzieci swoje, nie ma sensu — nie na tem polega odrodzenie się przez lud. Bohaterki dramatu: gospodyni (Włodzimierzowa Tetmajerowa) i córka jej Isia nie przestały być chłopkami intelektualnie. Język „Wesela“ miejscami niesmaczny, gminny, nawet grubiański, dobry byłby w kilku scenach humorystycznych, ale w całości razi; tymczasem krytyka wita go, jako objawienie jakieś, jak gdyby prostota polegała na pewnej gminności wyrażeń. Język ten, zmanierowany już, brzęczy, dźwięczy, huczy, jeży się nowotworami i ucinkowemi zdaniami i niekiedy staje się niezrozumiałym“.

Podług tej zdrowej oceny są sceny przypominające szopkę.

„Dramat, pisze dalej krytyk, acz odznacza się wybitną jednością czasu i miejsca, uderza całym chaosem scen, nie powiązanych z sobą. W pierwszym akcie wchodzą w grę różne osoby, które, niewiadomo dlaczego, to lub owo mówią. Co nas obchodzą cynizmy poety w rozmowie z Rachelą, pannami lub dziewkami? Rachela zaś, mówiąca w stylu „Niepoprawnych“, niewiadomo dlaczego, jak Marek tłucze się po dramacie. Ten znów żyd-arendarz, mówiący o Boticellim, albo ksiądz, taki niesmaczny!... Wielką niekonsekwencyą jest drugi akt, zakrawający na parodyę „Dziadów“. O co właściwie idzie Stańczykowi? — nie rozumiem. Mówi dziwnie mętnie. Powiązanie rzeczywistości i dziwu w dwóch aktach ostatnich, nie umotywowane legendą, podaniem lub czarami. Słowem robienie „Dziadów“, w nowej postaci, autorowi nie udało się; olbrzymi pierwowzór depce w proch maleństwo naśladownicze. Wogóle rysunek charakterów w dramacie pozbawiony delikatnych odcieni, a forma wiersza zaniedbana: przeto rytm i rym kuleją często. Wprowadzenie zaś do akcyi osób żywych, znanych, obniża wartość utworu; autor mimowoli musi kreślić karykatury. A wypadek drobny, sporadyczny — wesele inteligenta z bogatą chłopką — wyrasta do rozmiarów ogólnonarodowych! Histeryczne zachwyty i pochwały, jakiemi krytyka, z Tetmajerem na czele, obdarza swego ulubieńca, uwielbienia koteryi małomiasteczkowej krakowskiej, którą nowy wieszcz upoetyzował w dramacie... jeszcze raz świadczą o braku krytycznego zmysłu u nas...“

Z izby sądowej.

Lwów, 27 lutego.

(*Oszustwo*).

W procesie o oszustwo przeciw byłym kupcom lwowskim, braciom Wiktorowi i Łucyanowi Kapko, prokurator odstąpił od oskarżenia co do ukrycia towarów i wprowadzania wierzycieli w błąd przez żądanie moratoryum. Wobec tego proces ukończył się już wczoraj. Sędziowie przysięgli, uwzględniwszy to, że oskarżeni nie mieli rutyny kupieckiej, że padali ofiarą niesumiennych klientów, że Łucyana Kapkę okradziono, — zaprzeczyli wszystkie pytania w kierunku winy oskarżonych, przeto trybunał wydał wyrok uwalniający.

KRONIKA.

Lwów 27 lutego.

Odezwa w sprawie ostatnich demonstracyi lwowskich, ogłoszona dnia 8 lutego w naszem piśmie, znalazła silny odgłos w kraju. Dowodzą tego w wymowny sposób napływające ze wszech stron na ręce Adama ks. Sapiehy i do redakcyi czasopism listy z podpisami przedstawicieli różnych stanów i zawodów, jako to posłów na Sejm i do Rady państwa, właścicieli większych posiadłości, duchowieństwa obu wyznań, lekarzy, adwokatów i t. d., nawet włościan.

Dotąd zgłosili swój akces:

Z jaworowskiego: Jan Szeptycki, Stanisław Myszkowski, Ludomił Morawski, Jan Konopka, Leon Szeptycki, Ludwik Dębicki, Aleksander Weissmann, br. Stanisław Hagen, Henryk Karczewski, Seweryn Frank, Kazimierz hr. Łubieński, M. Małachowski, Fangor, Franciszek Colonna Czosnowski.

Z rudeckiego: Mieczysław Lewicki, Józef Trojan, Stefan Janko, Józef Jarzymowski, Piotr Zbrożek, X. Władysław Frydel, dr. Jakliński, Zygmunt Ajdukiewicz, Adam Biederman, Szczęsny Piechowski.

Z drohobyckiego: Juliusz hr. Bielski, Juliusz hr. Bielski (młodszy), — dwa podpisy nieczytelne.

Ze stanisławowskiego: Stanisław Gołaszewski, Antoni Robaczewski, X. Henryk Augier, Stanisław Pieniążek, X. Jan Eiselt, Karol Mencel, Jan Janko, Józef Budziński, Kajetan Kazimierz Łukasiewicz, Stanisław Barta, Dmytro Kuśnierczuk, Dmytro Filkowski, Wiktor Boczarski, Stanisław Cieński.

Z sokalskiego: Jan Krzyżanowski, — dwa podpisy nieczytelne.

Z jarosławskiego: dr. Jan Walewski, Władysław Bzowski, Stefan Borek Prek, Władysław Pogonowski — jeden podpis nieczytelny.

Z horodeńskiego: Kazimierz Przybysławski — dwa podpisy nieczytelne.

Z dobromilskiego: X. dr. Klemens Sarnicki, archimandryta Z. św. B., O. Michał Karowec, O. Kaźmierz Mrozowski, O. Anastazyusz Aleksander Kałysz, O. Dyonizy Tkaczuk, X. Feliks Chmielowski, A. Kyc, Karol Zawadzki, Torczyński, dr. Julian Bong, dr. Ludwik Ćwiklicer, Bogusław Pawlikowski, Stanisław Cwaczniński, Kazimierz Junga, Czesław Dembiński, Feliks Bogdański, Cipser, Stanisław Zajączkowski, Julian Jabłoński, Antoni Kościński, Józef Brodowicz, Klemens Czeczot — pięć podpisów nieczytelnych.

Kościół św. Elżbiety. Wczoraj po południu odbyło się w pałacu arcybiskupim posiedzenie komitetu dla budowy kościoła św. Elżbiety. Przewodniczył X. arcybiskup Bilczewski. W posiedzeniu wzięli udział: namiestnik, marszałek, wiceprezydent namiestnictwa Lidl, radzcy dworu Mauthner, Wierzbicki, Seferowicz, członek Wydziału kraj. radzca dworu dr. T. Pilat, prezydent miasta Małachowski, wiele pań z panią marszałkową, członkowie komitetu z rozmaitych kół zawodowych i towarzyskich naszego miasta, profesorowie uniwersytetu, politechniki, architekci, artyści rzeźbiarze i malarze itd. Po zagajeniu przez ks. arcybiskupa, radzca namiestnictwa Korzeniowski, zdał sprawę z działalności komitetu wykonawczego; wspomniał o ogłoszeniu odezwy w sprawie składek i oznajmił, że mianowano delegatów, którzy mają zająć się zbieraniem składek; wszystko jest już przygotowane, a delegaci otrzymają w najbliższych dniach legitymacye. Z kolei ks. Zejchowski zdał sprawę ze stanu składek. Do końca r. 1901 było złożonych 74.000 K.; obecnie jest około 140.000 K.

Na wniosek X. arcybiskupa, jednomyślnie przez aklamacyę uchwalono zwrócić się do arcyks. Franciszka Ferdynanda z prośbą o przyjęcie protektoratu komitetu.

Prof. Bołoz-Antoniewicz przedstawił imieniem komitetu artystycznego projekt warunków konkursu na budowę kościoła. Kościół ma być zbudowany w stylu przejściowym z romańskiego do gotyckiego, albo w stylu wczesnego gotyku. Projekty mają być nadesłane do 1 marca 1903. W konkursie mogą wziąć udział tylko architekci narodowości polskiej. Warunki konkursu będą w tych dniach ogłoszone. Wnioski prof. Antoniewicza w tej mierze uchwalono.

Po przemówieniach namiestnika i X. arcybiskupa Bilczewskiego uchwalono następujący skład komisyi jurorów: wybrani przez komitet: dyrektor Hochberger, dr. Bołoz-Antoniewicz, Tadeusz Wojciechowski, artysta-malarz Rejchan, hr. Karol Lanckoroński, radzca budownictwa Sylwester Hawryszkiewicz; dalej z lwowskiego Towarzystwa politechnicznego: architekt Adolf Kuhn, ze związku artystów i architektów ze Lwowa artysta-rzeźbiarz Tadeusz Wiśniowiecki, z Tow. technicznego: w Poznaniu Franciszek Zakrzewski, w Krakowie Sławomir Odrzywolski, we Lwowie Wincenty Rawski, w Warszawie Józef Dziekoński.

Obszerną dyskusyę wywołała kwestya oznaczenia kosztów budowy. Podczas, gdy dawniej komitet projektował na ten cel kwotę około $1^1/_2$ mil. K., komitet ściślejszy zaprojektował obecnie 700.000 K. na wykonanie budowy, a 300.000 K. na upiększenie i wewnętrzne urządzenie. Ostatecznie przeważyło zdanie, by przyjąć do potwierdzającej wiadomości uchwały komitetu ściślejszego. Obrady zamknął X. arcybiskup prośbą do członków komitetu, aby zaopiekowali się sprawą budowy kościoła św. Elżbiety i rozwinęli w tym kierunku w miarę sił i stosunków gorliwą akcyę.

Jubileusz papieski. Z okazyi jubileuszowego nabożeństwa w niedzielę, X. arcybiskup Bilczewski przesłał następujący telegram na ręce Jego Eminencyi Kardynała Rampolli:

„Sua Eminenza Cardinale Rampolla, Roma.

Clerus, summique civium praefecti atque omnes archidiaeceseos fideles incolae ad aras Dei hesterno die procumbentes, Christum precibus ardentissimis adierunt, ut Te, Beatissime Pater, Vicarium suum, qui vigesimum quintum regni faustissimi annum ingressus es, quam diutissime sospitet ac conservet. Quod studiorum suorum documentum sanctissimo Patri notum esse cupiunt et ad pedes Sanctitatis Suae provoluti, amorem, reverentiam, oboedientiam profitentur, atque Apostolicam benedictionem humillime expetunt.

Po polsku: „Kler, naczelnicy władz i wszyscy wierni archidyecezyi, zebrani w kościele, gorąco błagali Chrystusa, ażeby Ciebie, Ojcze święty, Namiestnika swego, który rozpocząłeś 25-ty rok błogosławionych swoich rządów, utrzymał i zachował jak najdłużej przy najlepszem zdrowiu. Równocześnie prosimy o przedstawienie tych wyrazów naszej wierności Ojcu św., a ścieląc się do stóp Jego Świątobliwości, ślubujemy miłość, cześć, posłuszeństwo i błagamy w pokorze o błogosławieństwo apostolskie“.

Na ręce X. Arcybiskupa nadeszła od X. kardynała Rampolli następująca odpowiedź:

„Beatissimus Pater pietatis sensa Cleri, moderatorum publicorum ac fidelium gratissima habuit. Tibi et illis amantissime benedicit.

Card. Rampolla“.

(„Ojciec święty przyjął najmilej uczucia synowskiego przywiązania kleru, naczelników władz i wiernych i błogosławi Tobie i im z serca“).

Wiadomości urzędowe. Cesarz nadał emerytowanemu nauczycielowi ludowemu w Radochońcach Józefowi Długoszowi srebrny krzyż zasługi.

† **Leoncyusz Wybranowski**, były poseł na Sejm krajowy, długoletni marszałek Rady powiatowej w Zaleszczykach, prezes Rady zawiadowczej Towarzystwa zaliczkowego i członek Rady zawiadowczej Tow. kred. ziemskiego, zmarł wczoraj w naszem mieście w sędziwym wieku lat 84. Zmarły zażywał wielkiego szacunku w szerokich sferach społecznych jako mąż wysoce prawy i w pracy publicznej wielce gorliwy. Z nazwiskiem jego spotykamy się po raz ostatni na odezwie, wydanej w lutym przez najpoważniejszych obywateli kraju — w sprawie demonstracyj lwowskich. Zwłoki zasłużonego męża przewiezione będą jutro o godzinie 10ej rano z domu żałoby w ul. Podlewskiego l. 10 na dworzec główny; pogrzeb odbędzie się 2 marca w Drohiczówce.

Powszechne wykłady uniwersyteckie. W piątek dnia 28 b. m. w Zakładzie fizycznym (Długosza 8) o godz. 7·30 prof. uniw. dr. J. Zakrzewski: „Teorya ciepła“. — W szkole realnej (Kamienna 2) o godz. 7·30 dr. St. Witkowski: „Elementarny kurs języka łacińskiego“.

Powszechne wykłady uniwersyteckie na prowincyi. W niedzielę dnia 2 marca Brody: Prof. P. Passowicz „O teatrze greckim“. — Drohobycz: Prof. F. Gątkiewicz „Wspomnienia z dziejów polskich przed obrazami Matejki i Kossaka“. — Kałusz: Prof. uniw. dr. J. Siemiradzki „Woda w gospodarstwie przyrody“. — Przemyśl: Dr. J. Nusbaum „Historya kawałka kredy“. — Stanisławów: Prof. dr. Fr. Tondera „O życiu roślin“. — Tarnopol: Prof. J. Madej „Budowa wszechświata“. — Złoczów: Prof. J. Kukucz „Stosunki polskie w Księstwie cieszyńskiem“.

Przekazy pieniężne do Brazylii. Od 1 marca będzie można wysyłać pieniądze do Brazylii za zwykłymi przekazami pocztowymi — w wysokości do 500 K.

Wybory do Rady miejskiej. Dziś od godz. 9-ej rano do 1-szej w południe odbywały się wybory do Rady miejskiej; po południu głosowano od godz. 3 do 7-mej. Do przerwy południowej oddano ogółem 2.744 głosów.

Wybory odbywają się spokojnie. Wre natomiast w lokalach wyborczych rozmaitych komitetów. Wielka awantura wybuchła w południe w lokalu wyborczym komitetu wyborców żydowskich przy ul. Beisera; przybyła tam jakaś socyalistyczna komisya na kontrolę, a jeden z członków owego żydowskiego komitetu strzelił do przybyłych socyalistów i zranił jednego z nich w twarz. Nad porządkiem i swobodą wyborców czuwają w mieście policyanci, a w podwórzu policyi obozuje kompania piechoty.

Komunia dla więźniów. X. arcybiskup Bilczewski odprawił w Zakładzie karnym dla mężczyzn przy ul. Kazimierzowskiej Mszę św. i udzielił Komunii św. kilkuset więźniom, poczem wygłosił naukę i rozdał więźniom medaliki.

Do łoża Józefa hr. Potockiego powołany został ze Lwowa operator prof. Ziembicki. O właściwej przyczynie wypadku hr. Potockiego donosi *Gazeta warszawska* co następuje: Hr. Potocki postrzeliwszy odyńca zeszedł ze stanowiska i zrobił kilkadziesiąt kroków w jego kierunku. Znajdujący się tam w pobliżu hr. Potockiego, książę Radziwiłł, posłyszawszy szelest, strzelił, gdyż sądził, że w knieji porusza się zwierzyna. Kula ugodziła hr. Potockiego w prawą nogę o sześć cali powyżej jabłka kolanowego.

Konkursa rozpisują: Wydział powiatowy w Tarnopolu na posadę lekarza okręgowego w Czernichowie; pobory 1600 K., termin do 1 marca. — Wydział pow. w Skałacie na posadę lekarza okręgowego w Touste; z poborami 1600 K.; termin do 15 marca. — Prezydyum sądu wyższego w Krakowie na posadę asystenta kancelaryjnego w Rzeszowie; termin do 31 marca. — Dyrekcya poczt i telegrafów na posadę ekspedyenta w Targowicy polnej; pobory III klasy 6-go stopnia; termin do 12 marca.

Zmiana programu. Komitetowi urządzającemu 1 marca raut na tuchlańską kolonię wakacyjną udało się pozyskać znakomitego gościa opery tutejszej pannę Bel Sorel do współudziału w koncercie na tym raucie. W miejsce pani Ireny Sol..., która niestety obłożnie zachorowała, z koleżeńską gotowością przyjęła współudział w koncercie panna Helena Arkawin. Wobec nadzwyczajnej liczby zgłoszeń po zaproszenia i bilety, komitet jest zmuszony celem zapobieżenia przepełnieniu wstrzymać już w piątek wydawanie imiennych biletów na ten raut.

Piekarze lwowscy obradowali wczoraj w Izbie rękodzielniczej nad rozporządzeniem Magistratu w kwestyi ustalenia cen i wagi chleba. Przepisem tym piekarze są zobowiązani wyrabiać bochenki wagi pół, jednego, półtora, dwóch i trzech kg. nie jest wskazane, albowiem trzebaby przy sprzedaży chleba innej wagi, bochenek krajać, a przecież krajanie chleba na straganach przeciwne jest względom higienicznym. Dalej użalali się piekarze na zupełną bierność Magistratu w kwestyi piekarni niekoncesyonowanych; piekarnie te, jakoteż piekarnie prowincyonalne dyskredytują uczciwych piekarzy lwowskich, bo i droższy i gorszy chleb. Chleb taki jest często opatrzony firmą piekarni, a publiczność obwinia za takie nadużycia ogół piekarzy lwowskich. Postanowiono więc w tej sprawie udać się z przedstawieniem do prezydenta miasta, a gdyby to znowu nie poskutkowało, pójdą piekarze do namiestnika. Niezależnie zaś od tego postanowiono na wczorajszej naradzie uciec się do samopomocy; mianowicie wybrano komisyę, która będzie kontrolowała piekarnie niekoncesyonowane, wykrywała je i wogóle dążyła do tego, aby zakłady, które korporacyi piekarzy szkodzą i dyskredytują ją w oczach publiczności i władz, ubezwładnić.

Charakterystyczną rzecz opowiedział na zebraniu prezes korporacyi, p. Schirmer. Oto niejakiemu panu Eile odmówiono karty przemysłowej na wykonywanie przemysłu piekarskiego we Lwowie. Dał on sobie jednak radę w ten sposób, że postarał się o kartę przemysłową na piekarnię w Husiatynie, poczem zawiadomił lwowski Magistrat, że otwiera we Lwowie filię piekarni husiatyńskiej. Magistrat przyjął to potulnie do wiadomości, a p. Eile bez przeszkody już uprawia piekarstwo we Lwowie, choć mu to karty przemysłowej odmówiono.

P. Władysław Florjański obejmuje reżyseryę opery warszawskiej.

Fundacya imienia Szajnochy. W dniu wczorajszym odbyło się w gmachu Zakładu Ossolińskich, pod przewodnictwem prof. dra Antoniego Małeckiego, posiedzenie komitetu fundacyi im. Karola Szajnochy, której rocznica jest właśnie czcigodny dzisiejszy prezes. Z nadesłanego nam sprawozdania dowiadujemy się, że majątek fundacyi wynosi obecnie 69.059 K. 84 hal. i że w ciągu ubiegłego roku wzrósł o 319 K. 72 h. Z odsetek od kapitału pobierają od lat kilku zasiłki: Karol Brzozowski i Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeż), każdy z nich rocznie 1298 K. 36 h. rocznie. W miejsce zmarłego śp. Arcybiskupa Isakowicza wybrano członkiem komitetu prof. dr. Tadeusz Wojciechowski, a na jego zastępcę powołano dra Józefa Wereszczyńskiego.

Wściekły pies. Z Mostów wielkich nam piszą: Dnia 20go lm. pokąsał wściekły pies ośm osób, i wiele psów i zwierząt domowych. Z pokąsanych ludzi już kilkoro odjechało do Krakowa do zakładu dra Bujwida. W przeciągu krótkiego czasu już trzeci raz pojawia się wściekły pies w naszem mieście i kąsa ludzi i zwierzęta. Byłoby bardzo pożądanem, aby kompetentne władze wydały polecenie zastosowania przepisów dla właścicieli psów i polecili tępić bezpańskie psy.

Ofiary. Na ubogich chłopców z Poznańskiego nadesłali Kajcio Gużkowski i Franio Zdański z Ostrowca 5 koron.

Zmarli. We Lwowie Ludwik Neubauer, członek orkiestry teatru miejskiego, lat 34; Mikołaj Skrypuch, oficyał urzędu podatkowego, lat 88.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano — 0, w poł. + 2 R. Bar. 766. Pogoda: Pochmurno.

W szkole ludowej.

Nauczyciel. Co możesz powiedzieć o czterech porach roku?

Uczeń. W jesieni chodzi się czasem boso, w zimie nie chodzi się wcale boso, na wiosnę chodzi się czasem boso, a latem to już cały czas chodzimy boso.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś we czwartek „Faust" opera w 5 aktach Gounoda. Występ Bel Sorel. — Jutro w piątek po raz IIIci „Urwasi" w 3 akt. E. Długoszewskiego. Zakończy: „Pajace" opera w 2 aktach Leoncavalla. — W sobotę po raz pierwszy „Życie publiczne" (La vie publique) komedya w 4 aktach E. Fabre. — W niedzielę po połud. o 4tej po poł. po raz VIIImy „Kierownik szkoły" kom. w 3 ak. O. Ernsta. Wieczorem o godz. wpół do 8mej „Traviata" opera w 4 akt. Verdiego. Występ Bel Sorel. — W poniedziałek po raz IIgi „Życie publiczne".

Literatura i sztuka.

* **K. Rojan**: „Dusze artystyczne (Vanitas)". Powieść. Lwów. (Gubrynowicz i Schmidt).

Dusze artystyczne weszły w modę. Minęły czasy pozytywistycznych inżynierów, wojujących cyrklem i energią życiową. Dziś tryumfalnym pochodem weszli w powieść i dramat rycerze pióra, pędzla, dłuta, kontrapunktu, genialne intelekty, pogardzające szarym tłumem filistrów, podbijające serca niewiast potęgą swych talentów, zagadkowością swych skomplikowanych dusz, których przepastne głębie kryją w sobie niepojęte walki wewnętrzne i tajemnice, zdolnością budzenia nieznanych dreszczów i wrażeń, bajeczną lotnością wyobraźni i różnymi innymi środkami, których brak pospolitym zjadaczom chleba, posiadającym nawet niezadłużone wioski i kapitały w banku angielskim.

Zaroiło się od nieuznanych geniuszów, od gnębionych talentów, od wspaniale bohaterskich tenorów, pardon — męczenników popędu twórczego, od nadludzi, marnujących się z całą samowiedzą, od muzyków, poetów, malarzy, literatów, czy to rozpoczynających swe działanie, czy to stojących u zenitu chwały i sławy. Dusze artystyczne weszły w modę.

Mimo to w powieści naszej, ani w dramacie nie ma dotychczas typu artysty, postaci wycieniowanej subtelnie, zarysowanej wyraziście, żywej, prawdopodobnej. Są próby mniej, albo więcej udatne, są cudactwa karykaturalne, są fantastyczne dziwolągi *pour épater le bourgeois*, chorobliwe maniaki, budzące litość i odrazę, albo śmiech, są wreszcie banalne szablony, skonstruowane na użytek poczciwych filistrów, ciekawych bardzo, jak to wygląda ten osławiony artystyczny światek. Ale jednostki twórczej, potężnej myślą, wyobraźnią, wrażliwością, uczuciem, krezusowo bogatej życiem wewnętrznem, mającej w sobie niezbadany, nieokreślony pierwiastek natchnienia, bujny, wspaniały temperament artystyczny, a przytem zdrowej i silnej, pozbawionej patologicznych, rozkładowych składników psychicznych,—takiej jednostki w powieści naszej i w dramacie nie ma.

Stąd też niesłychane bałamuctwo pojęć. Artysta w pojęciu przeważnej części społeczeństwa jest dziwadłem, na które patrzy się z tą samą niezdrową ciekawością, z jaką ogląda się potworne i dziwaczne, smutne, nieszczęsne wybryki natury w barnumowskich *etablissements*, z jaką ogląda się zrośniętych w jedno ciało braci syamskich, różne *Riesendamen*, karły, Pastrany, — z tem samem politowaniem, któremu nie brak przymieszki pogardliwego poczucia wyższości, z jakiem zdrowy człowiek patrzy na nieuleczalnie chorego kalekę.

Człowiek przeciętny, skoro chce usprawiedliwić szaleństwa, dziwactwa, występki nawet innego człowieka, mówi o nim łaskawie: „To artysta". I znów pobłażliwe politowanie i to najczęściej politowanie ludzi, którzy zapominają przypowieści biblijnej o źdźble w cudzem oku i dziękują Bogu, że nie są, jako ów celnik... Człowiek przeciętny wierzy wszystkim ujemnym pogłoskom, wszystkim najnieprawdopodobniejszym plotkom, uwłaczającym temu, czy owemu artyście i im większy ten artysta, im wyżej się wzniósł, tem więcej najpotworniejszych baśni łączy się z jego osobą. Człowiek przeciętny wierzy tym baśniom, rozpowszechnia je, podaje coraz dalej i nie da sobie wyperswadować, że to kłamstwo, plotka, oszczerstwo, bo—jak świetnie uchwycił to Ernst Hello — w każdym prawie człowieku przeciętnym tkwi niepojęta „nienawiść do sztuki", pogarda sztuki i ta łączy się nierozdzielnie z zawiścią i zazdrością, jaką zawsze prawie — w mniejszym czy wyższym stopniu — odczuwa człowiek o inteligencyi niższej wobec umysłów wyższych, obejmujących szersze i dalsze horyzonty, czujących głębiej i silniej, żyjących w świecie dla niego nieprzystępnym.

Stąd też szkodliwość tych wszystkich przeważnie fantastycznych, pozbawionych prawdy powieści „Z życia artystów", tych najrozmaitszych postaci, najczęściej przedstawionych w fałszywem świetle, albo jednostronnie i powierzchownie. One utwierdzają rozpowszechnione w społeczeństwie błędne, spaczone pojęcia o „artystycznych duszach", o artystycznem życiu, dają poparcie fantastycznym, najpotworniejszym legendom, obniżają stanowisko społeczne artysty, jego znaczenie i wpływ. I nic dziwnego, że na tem tle pseudonaukowe blagi Lombrosa o pokrewieństwie geniusza z obłąkańcem znajdują wyznawców i uznanie.

Psychologię artystycznej duszy dać może tylko artysta wielki, mający nadzwyczajną siłę intuicyi i odczucia, nadzwyczajnie rozwinięty zmysł obserwacyjny, zdolność odróżniania pozorów od rzeczywistości, kabotynery od rzeczywistego artyzmu. On musi znać wszechstronnie ten mikrokosmos artystyczny, który zawsze jest inny dla profana i filistra, inny w swem zamkniętem kółku. On musi poznać dokładnie i zupełnie sporo tych dusz, które — mówimy o artystach, nie o kabotynach—uzewnętrzniają się tylko wyjątkowo z całą szczerością, otwierają się tylko pokrewnym sobie duszom i to w tych niezmiernie rzadkich momentach, gdy czują nieprzepartą konieczność wypowiedzenia i przejawienia najistotniejszej swej treści, tego, co zwykle kryją zazdrośnie przed każdym, najbliższym nawet. W tem odrębnem kółku niema typów; są indywidualności niepodobne jedna do drugiej; każda z nich ma swój świat odrębny, nieprzystępny, w tym świecie swoim żyje sama dla siebie. Każda z nich inaczej reaguje na wpływy zewnętrzne, inaczej odczuwa ból i cierpienie, radość i wesele. To co jednej nie dotknie wcale, inną przenika na wskróś; co u jednej mija niepostrzeżenie, drugą wali o ziemię nazawsze. Wśród tej bajecznej rozmaitości charakterów, temperamentów, usposobień, jest bajeczne bogactwo wrażliwości, zagadkowa mieszanina pozy i szczerości, nieustanna przemiana nastrojów, to *himmelhoch jauchzend*, to *zu Tode betrübt*... Aby wejść w ten Sezam i wynieść z niego najcenniejsze skarby, trzeba mieć zaklęcie, którego dotychczas nikt prawie nie miał, a jeśli miał, to skarbów nie wyniósł, bo mu sił nie starczyło.

Wszystkie te refleksye nasuwa tytuł powieści p. Rojana, tytuł, lecz nie powieść, bo w powieści „dusz artystycznych" niema wcale. Jest to sobie zwyczajna, stara, jak świat i odpowiednio banalna historya dwóch pospolitych duszyczek, kochających się srodze, ale nie mających odwagi wyznania sobie swych afektów. Trzeba dopiero interwencyi niewiasty bardzo sprytnej, aby Numę wydać za Pompiliusza. Ponieważ zaś ta niewiasta skończyła konserwatoryum i gra — jak autor twierdzi — bardzo pięknie na fortepianie, więc prawdopodobnie ma ona być jedną z tych „dusz artystycznych". Mimo najszczerszej woli i chęci, nie można w duszy pani Halszki odkryć najmniejszego pierwiastka „artystycznego". Ot, zwyczajna sobie kobietka, umiejąca „działać" na mężczyzn, nie przebierająca w środkach, aby przeprowadzić swe plany. Ale „duszą artystyczną" nie jest wcale, i sądzę, że samaby się obraziła, gdyby ją kto tak nazwał. Drugą „duszą artystyczną" ma być brat tej pani, architekt, jak autor twierdzi „genialny", aczkolwiek, szukający natchnienia w niezliczonych kieliszkach koniaku, butelkach wina i „bombach" piwa. Ten jeszcze od biedy dałby się wciągnąć do kategoryi „dusz artystycznych", ale jedna taka postać nie uprawnia autora do użycia liczby mnogiej w tytule. Zresztą, takich genialnych alkoholików mamy już dosyć, tak samo, jak rozmaitych konkursowych komedyj, w tym rodzaju, jak ta, którą p. Rojan wsunął w swoją powieść. Co ma znaczyć dodane do tytułu słowo *vanitas*? Czy ma ono być sądem własnym autora o jego powieści? Bo inaczej nie można tego ani przypiąć, ani przyłatać.

Bądź, co bądź, sentymentalność i bierność pary amantów, pewne humorystyczne zacięcie, efektowny i obiecujący zupełnie co innego tytuł, gwarantują powieści p. Rojana *un succès d'éstime* wśród przeciętnych czytelników, wśród których utwierdzi się jeszcze silne przekonanie o chorobliwości i niepoczytalności „artystycznych dusz".

Część ekonomiczna.

Wiedeń 25 lutego.

(Z). Wobec tego, że zniżenie stopy procentowej banku austro-węgierskiego na $3^{1}/_{2}\%$ nie wywarło zamierzonego skutku i wcale nie przyczyniło się do powiększenia portfelu wekslowego tej instytucyi, przeto dyrekcya jej za zezwoleniem rządu postanowiła z dniem dzisiejszym rozpocząć na nowo prywatne eskontowanie weksli na targu poniżej urzędowej stopy procentowej. Dla giełdy oczywiście zarządzenie to jest bardzo pożądane, bo czem tańsza gotówka, tem łatwiejsze pole ma spekulacya giełdowa. Jakoż podjęcie przez bank austro-węgierski na nowo eskontu prywatnego było dziś jednym z motywów zwyżkowych. W sprawie cukrowej nie było dziś przynajmniej żadnych nowych niepomyślnych wiadomości, a już to wiele znaczy. Interes spekulacyi koncentrował się dziś głównie na targu walorów żelaznych, wszelako także bankowe i kolejowe akcye wyszły z obrotów dzisiejszych z podniesionymi nieco kursami. Popyt o renty, który osłabił się był cokolwiek ostatnimi czasy, dziś znów się ożywił, co pociągnęło za sobą podniesienie się ich kursu.

Sprawa cła od nafty interesuje giełdę w wysokim stopniu, interesa sfer giełdowych w tej sprawie są jednak podzielone. — Właściciele akcyi kopalń galicyjskich pragnęliby oczywiście zatrzymania dzisiejszego cła, natomiast akcyonaryusze węgierskich rafineryi dążą do jego zniżenia. Cło od zagranicznej ropy naftowej, które wynosiło przedtem 2 złr. w złocie od centnara metrycznego, zostało rozporządzeniem cesarskiem z 17 lipca 1899 podwyższone na 3 złr. 50 ct. w złocie.

Podwyższenie to okazało się bardzo skutecznym środkiem ochrony produkcyi krajowej, gdyż zamknęło prawie zupełnie drogę importowi surowca rosyjskiego, sprowadzanego dawniej w ogromnych ilościach przez rafinerye węgierskie. W roku 1898 np. wynosił import tego rosyjskiego surowca 359.960, a w r. 1899 aż 594.144 cntn., po podwyższeniu cła zaś spadł ten import na 8.851 centnarów w r. 1900, a w r. 1901 wynosił 30.472 centnarów. Węgrzy, domagając się obecnie zniżenia cła, walczą między innymi także tym argumentem, że ropa rosyjska zawiera większą zawartość nafty niż galicyjska, więc zamykanie jej granic naszej monarchii podwójnie ich krzywdzi. Jeżeli się jednak zważy, że kopalnie galicyjskie produkują obecnie rocznie przeszło pięć milionów centnarów ropy, a zatem więcej niż wynosi całe zapotrzebowanie monarchii, przeto żądania ochrony tej produkcyi krajowej są zupełnie uzasadnione, bo otwarcie drogi dla importu surowca amerykańskiego i kaukazkiego mogłoby wprost zrujnować ją. Koło polskie, jak wiadomo, postanowiło jak najenergiczniej stanąć w obronie zagrożonego przemysłu naftowego w Galicyi.

Z Berlina donoszą, że zapasy węgla nagromadzonego w kopalniach niemieckich jeszcze nigdy nie były tak ogromne, jak obecnie. Jestto oczywiście następstwem zmniejszonego zapotrzebowania z powodu niebywale łagodnej zimy. — W Zgorzelicach (Görlitz) na Szląsku pruskim zawiązano syndykat niemieckich fabrykantów szkła. Celem jego jest oczywiście podwyższenie cen szkła.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 696·25, węgierskie 712·00, Anglobanki 285·25, Uniony 570·00, Bankvereiny 463·00, Länderbanki 430·75, Ludwiki 423·00, Czerniowieckie 567·00, Elbethale 470·50, Renta papierowa 101·50, srebrna 101·35, austryacka złota 120·75, austr. renta wal. kor. 98·90, węgierska złota 120·05, węgierska renta wal. kor. 97·20, dukat 11·32, 20-franków 19·07—, 20-markówka 23·44—, rubie 2·54—.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

Paryż 27 lutego. Wczoraj odbyła się we wspaniale przystrojonym Panteonie uroczystość z okazyi 100 rocznicy urodzin Wiktora Hugo; uczestniczył w niej prezydent republiki Loubet, ministrowie, ciało dyplomatyczne, liczni deputowani i goście, przybyli ze wszystkich stron Francyi. Minister oświaty Leygues i minister spraw zagranicznych podnieśli w przemówieniach swych zasługi Wiktora Hugo jako poety. Przed Panteonem zebrały się tłumy publiczności i witały owacyjnie Loubeta, ministrów i gości. Popołudniu odbyło się z wielką uroczystością na placu Wiktora Hugo odsłonięcie pomnika poety, w obecności Loubeta, ministrów, ciała dyplomatycznego i licznych deputacyi.

Murcia 27 lutego. Przyszło tu pomiędzy strejkującymi a żandarmeryą do starcia, wiele osób aresztowano, między niemi przewodniczącego Zjednoczenia robotników.

Barcelona 27 lutego. 40 osób, aresztowanych podczas ostatnich zajść, wypuszczono na wolność. Znaczna liczba robotników podjęła pracę. W Kartagenie strejkują jeszcze tylko piekarze. W Barcelonie aresztowano i postawiono przed sąd doraźny 2 anarchistów, którzy wzywali do buntu.

Belgrad 27 lutego. Pogłoski o zamachu na króla Aleksandra są nieuzasadnione. Oboje królestwo udzielali wczoraj przedpołudniem posłuchań i cieszą się najlepszem zdrowiem.

Ateny 27 lutego. Wczoraj urządziła ludność na corso demonstracyę, zwróconą przeciw tym osobom, które zwalczają projekt rady miejskiej założenia domu gry na corso. Prasa ateńska protestuje przeciw urzeczywistnieniu tego projektu, piętnując go jako hańbę Grecyi.

Londyn 27 lutego. Kitchener donosi z Pretoryi pod datą 20 b. m. Boerowie napadli koło Wolmarans na konwój angielski i po zaciętej walce wzięli do niewoli eskortę konwoju, złożoną z batalionu piechoty z 2 działami i z trzech kompanii strzelców. Szczegółów brak.

Berlin 27 lutego. Rząd poniósł wczoraj dotkliwą porażkę w komisyi dla taryfy celnej. Oto większością 14 głosów przeciw 10 uchwalono wniosek kompromisowy, żądający podwyższenia maksymalnych i minimalnych ceł dla czterech głównych gatunków zboża. — W ciągu dyskusyi minister handlu ostrzegał komisyę, aby nie stawała wyłącznie na stanowisku agrarnem, albowiem ze względu na eksport niemiecki nie należy przeciągać struny. Agraryusze zaś wywodzili, że jeżeli przyjęty zostanie ich wniosek, to chleb podrożeje o 5 feników dziennie dla każdego robotnika; owóż oni gotowi są chętnie o tę kwotę podwyższyć dzienną opłatę robotnikom.

Berlin 27 lutego. *Reichsanzeiger* ogłasza rozporządzenie wrocławskiego prezydenta rządu, znoszące zakaz importu bydła z Galicyi, który wydano 10 maja 1895 r.

Wiedeń 27 lutego. Wczoraj odbyło się pod przewodnictwem p. Baernreithera posiedzenie komitetu parlamentarnego dla sprawy cukrowej, w skład którego wchodzą posłowie i członkowie Izby panów. W dyskusyi podniesiono, że zniżenie cła od cukru przyniosłoby wielką szkodę rolnikom, bo wówczas za centnar mtr. buraków mogliby oni otrzymywać zaledwie 49 hal. Członkowie Izby panów oznajmili, że stronnictwa tej Izby już się ułożyły co do stanowiska w kwesyi cukrowej, ale postanowienia swe uznały za poufne. Komitet uchwały żadnej nie powziął, ze względu, że niewiadomo jeszcze, jaki będzie wynik konferencyi brukselskiej.

Wiedeń 27 lutego. Wczoraj przedłożył rząd ściślejszemu komitetowi dla sprawy handlu zbożowego zmieniony projekt ustawy o giełdach zbożowych i handlu terminowym zbożem. Projekt ten przyznaje znacznie większą ingerencyę na giełdy zbożowe Ministerstwu rolnictwa i krajowym stowarzyszeniom rolniczym. Tym ostatnim np. przyznaje prawo proponowania osób, które mają być powołane do kierowania giełdą zbożową.

Jeden z paragrafów obecnego projektu nakłada karę ścisłego aresztu od tygodnia do roku, a nadto grzywnę do 20.000 koron na każdego, kto zawiera interes w zbożu lub fabrykatach młynarskich, przyczem ma wyłącznie na oku osiągnięcie zysku ze zwyżki lub zniżki cen, a wie o tem, iż nie będzie w stanie towaru rzeczywiście dostarczyć albo odebrać. Tej samej karze podlega ten, kto namawia drugich do takich interesów.

Inny paragraf nakłada karę od 3 dni do 3 miesięcy aresztu, a nadto grzywnę do 5000 koron na każdego, kto zobowiązawszy się na podstawie interesu giełdowego do dostawy zboża, w terminie właściwym nie ma danego towaru. Taka sama kara spotka każdego, kto terminatkę giełdową puszcza dalej w obieg, jakkolwiek wie o tem, iż osoba, która ją wystawiła, nie posiada umówionego towaru.

Wiedeń 27 lutego. Subkomitet dla handlu terminowego zbożem uchwalił przyjąć ten projekt rządowy za podstawę do narad. Wczoraj załatwiono pierwszych 8 paragrafów przedłożenia rządowego, które zawiera kilka zmian. Pomimo opozycyi przyjął subkomitet i ten paragraf, który nakłada karę aresztu od tygodnia do roku, oraz 20.000 kor. grzywny, jeżeli kto zawiera interesy co do zboża i mąki, licząc wyłącznie na zysk ze spadku lub zwyżki cen, i jeżeli się okaże, że nie będzie w stanie dostawić towaru.

Madryt 27 lutego. Generalny kapitan Barcelony telegrafuje, że strejk należy uważać za ukończony; konsulowie zagraniczni odwiedzili prefekta miasta i wyrazili zadowolenie z powrotu normalnych stosunków.

Nowy Jork 17 lutego. Odbył się tu wczoraj na cześć ks. Henryka pruskiego bankiet, wydany przez prasę; wzięło w nim udział 1200 przedstawicieli prasy amerykańskiej. Wygłoszono wiele toastów; jeden z mówców zaznaczył, że 3 narody tj. Anglia, Niemcy i Stany Zjednoczone są jakby stworzone od Boga i od natury przeznaczone dla wiecznej przyjaźni.

Bydgoszcz 27 lutego. Izba karna tutejszego sądu uwolniła od winy wójta Wojciecha Oziminę i 20 gospodarzy, oskarżonych o obrazę nauczyciela Kühna za to, że wnieśli zażalenie na niego, iż obchodzi się z dziećmi w sposób urągający wszelkiemu opisowi. — Prokurator żądał dla nich kary 3-miesięcznego więzienia.

Rada państwa.

Wiedeń 27 lutego. Odczytano interpelacye i wnioski, między innymi wniosek p. Królikowskiego i towarzyszy w sprawie zaprowadzenia ułatwień przy intabulowaniu praw własności na mniejszych posiadłościach w Galicyi i na Bukowinie, dalej interpelacyę Olszewskiego i towarzyszy w sprawie stosunków personalnych w sądach krakowskich.

Następnie przystąpiono do dalszego ciągu dyskusyi szczegółowej nad budżetem.

P. Skene referuje dział: „Rada gabinetowa" i „Trybunał administracyjny".

Po kilku mowach podrzędniejszego znaczenia zabrał głos p. Michejda i wyłuszczył postulaty ludności słowiańskiej na Szląsku. Przedewszystkiem pragnie ona, aby Izba poczęła pracować, następnie, aby przestano germanizować Słowian na Szląsku, wreszcie aby pamiętano o tem, że nie ludność istnieje na to, aby miała z czego żyć biurokracya, ale że biurokracya powinna być na usługach ludności. Głosowanie swoje uczynił zawisłem od tego, jak rząd zachowa się wobec ludności słowiańskiej na Szląsku.

HOTEL GEORGEA.

Przyjechali dnia 27 lutego. Kniaź J. Puzyna z Narola. Hr. F. Czosnowski z Sądowej Wiszni. Hr. K. Romer z Brzuchowic. R. Wojciechowski z Trzciany. T. Bohdan z Milatyna. A. Fedorowicz z Szył. Dr. J. Indrak z Wiednia. K. Bromirski z Faszówki. J. Jasiński z Pererowa.

HOTEL EUROPEJSKI

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki

Przyjechali dnia 27 lutego. Hr. J. Jabłonowski z Zagwoździa. Hr. F. Breza z Wittowic. Br. O. Hieckel z Stopowiec. F. Gniewosz z Jasionowa. L. Radecki z Moszczanicy. K. Jaworski z Ostrowczyka. Fortunat Skarzyński z Szwejkowic. A. Theodorowicz z Żukowa. S. Białoskórski ze Staj. J. Pierożecki z Jasła. W. Niwicki z Bortnik. A. Wejda z Parkasza. J. Blum z Stefanówki.

HOTEL FRANCUSKI

Przyjechali dnia 27 lutego. O. Prochaska z Żelechowa wielkiego. E. Dutschka z Bachorzec. E. Ripomenti z Medyolanu. M. Zastera i J. Viso z Pragi. M. Schüsel z Brzeżan. F. Sozański z Kornelowic. F. Kasper, H. Herman i S. Fischer z Wiednia. L. Hirsch, J. Dawid, J. Proske, S. Klein i B. Ettinger z Budapesztu. S. Karśnicki z Rosyi. A. Wiktor z Ropczyc.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń 27 lutego. (Giełda towarowa). Cukier (słabo) 18·35. Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus (silnie) 39·00.

Berlin 27 lutego. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·25 Spirytus 34·10.

Paryż 27 lutego. Giełda była wczoraj z powodu święta zamknięta.

Frankfurt 27 lutego. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 223·00. Koleje państwowe 145·00. Alpiny 000·00. Disconto 196·60. Laura 000·00.

Wiedeń 27 lutego. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na wiosnę 9·50—9·51, na maj-czerwiec 9·53—9·54, na jesień 0·00—0·00; żyto na wiosnę 7·73—7·74, na maj-czerwiec 7·76—7·77, na jesień 0·00—0·00, kukurudza na maj-czerwiec 5·60—5·61; na czerwiec-lipiec 0·00—0·00, na lipiec-sierpień 0·000—0·00; owies na wiosnę 7·97—7·98, na maj-czerwiec 8·01—8·02, na jesień 0·00—0·00. Rzepak na styczeń-luty 0·00—0·00, na sierpień-wrzesień 12·85—13·00. Olej rzepakowy na styczeń-kwiecień 0·00—0·00. — Tendencya: spokojna. Pogoda: piękna.

Budapeszt 27 lutego. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na kwiecień 9·42—9·43, na październik 8·32—8·33; żyto na kwiecień 7·64—7·65, na październik 6·88—6·90; owies na kwiecień 7·69—7·70, na październik 6·30—6·31; kukurudza na maj 5·30—5·31, na lipiec 5·45—5·46. Rzepak na sierpień 12·40—12·50. Oferty na pszenicę: mierne. Chęć kupna ograniczona. Tendencya: spokojna. Pogoda: łagodnie.

Wiedeń 27 lutego. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880 3% 264.75

" " " " " 1889 3% 256.50

Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m.k. 4% 500.—

Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł. 5% 280—

Węg. Banku hipotecznego po 100 zł. 4% 253.50

Pożyczka serbska prem. po 100 fr. 2% 81.50

Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr. 110·75

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 18·60, Zakł. kred. dla h. i p. po 100 zł. 424.—, Clary 40 zł. m. k. 166.—, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 82.00, Losy m. Krakowa 20 zł. 74.00. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 72.—, Ofen 40 zł. 203.00, Palffy 40 zł. m. k. 188.00. Czerw. krzyża austr. 10 zł. 54.—, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 29·40. Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 80.—, Salma 40 zł. m. k. 230.—, Pożyczka salcburska 20 zł. 80.00, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 260.00. Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 413.—.

Lwów 27 lutego. (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron 422·00 do 428·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 535.00 do 573.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 585.00 do 550·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 100·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 000·— do 350.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 350.— do 380.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 10[illegible]·50 do 000·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 98·60 do 99·30, 4 proc. los w 60 lat 94·00 do —·—. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 100·50 do 101.20 Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 95·00 do 95·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 95·00 do 95·70, 4 proc. los w 41 i pół latach 95.00 do 95.70, 4 proc. los w 56 lat 95·30 do 96.0

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1901 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1·35**, **8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50*

Z Rzeszowa: 11·45.

Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 8·35*, 5·35 10.20*; na Podzamcze: **2·20**, 8·12*, 5·11, 10·2*.

Z Tarnopola: 8·00 (na dw. gł.); 7·40 na Podzamcze.

Z Czerniowiec: **12·15***, **1·45**, 6·20, 5·40 i 9·20*.

Ze Stanisławowa: 11·55.

Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.

Z Brzuchowic, Żółkwi, Sokala: 8·15, 6·00.

Z Janowa 7·45, 5.15.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12·45***, **8·30**, **2·55**, 4·15*, 8·40, 6·20*, 11*

Do Rzeszowa: 8·30.

Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·25 11·10*; z Podzamcza: **2·08**, 6·43, 9.42, 11·32*.

Do Tarnopola: 7·10* z dw. głównego i 7·32* z Podzamcza

Do Czerniowiec: **2·51***, **2·40**, 6·25, 10·25, 10·30*.

Do Stanisławowa: 6·10*.

Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*.

Do Brzuchowic, Żółkwi, Sokala: 10·20, 7·25*.

Do Janowa: 9·15; 7.50*.

71)

TYBERYUSZ

POWIEŚĆ

przez

J. Evans Wilsona.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartinghowa.

(Ciąg dalszy).

— Któż pana mianował sędzią wartości dusz ludzkich? — spokojnie zapytała Regina. — Moje życie należy naprzód do Boga, potem do mnie samej; i jeżeli mi się podoba narazić je, niosąc pomoc moim towarzyszkom niedoli, to nie przywłaszczaj sobie pan władzy przeszkadzania mi w tem.

— Czyż to życie stało się już pani takim ciężarem, że chcesz popełnić samobójstwo pod płaszczykiem bohaterskiego miłosierdzia? — spytał doktor, wpijając w nią swoje bystre, czarne oczy z pod krzaczastych brwi.

— Zdaje mi się, że mogę szczerze odpowiedzieć — nie; — nie mam tak samolubnych zamiarów, lecz serce moje przepełnione jest współczuciem i obawą o niektóre z tych kobiet, które nie odczuwają jeszcze skruchy za swoje winy. Chore dusze głośniej jeszcze od chorych ciał domagają się ratunku, a któż może odmówić mi przywileju śpieszenia im z pomocą? Jeżeli zaś spodoba się Bogu odwołać mnie do siebie z tego padołu nędzy i płaczu, to spokojnie stanę przed Jego świętem Obliczem, bom posłusznie poszła za wskazówką Jego dłoni, która mi wyznaczyła to mozolne pole pracy i zasługi. Puśćcie mnie więc do roboty.

Dwaj mężczyźni, którzy od ośmnastu blisko miesięcy badali jej charakter i znaleźli go czystym, jak kryształ bez skazy, spojrzeli z nietajonym podziwem na wdzięczną postać, odzianą z taką królewską godnością w aresztancki mundur i na bladą, bezkrwistą twarz, napiętnowaną słodyczą poddania.

— To by się równało wtrąceniu św. Katarzyny Genueńskiej między zgraję galerników — mruknął doktor.

— To też aniołowie pochowali ją na górze Sinai — szepnęła aresztanka, przed oczami której przesunął się piękny obraz Luiniego.

— Chcesz pani tego sama... Bierzesz odpowiedzialność za swoje życie...

— Tak, — wszelką odpowiedzialność.

— Więc niechaj Bóg czuwa nad tobą... Idź, bo praca jest duża, a robotników mało.

— Jakto, doktorze? — wdał się między nich zawiadowca. — A ja liczyłem na ciebie, że mi pomożesz oddalić stąd pannę Brentane... Niechże jej się broń Boże co złego przytrafi, to jakże ja się wytłómaczę przed Zuzią? Kazała mi przyrzec, że czuwać będę po ojcowsku nad jej ulubienicą. Patrz pan, niedalej jak godzinę temu otrzymałem te oto dwa ochronne woreczki z kamforą, asafetydą i nie wiem już sam czem, jeden dla siebie, a drugi dla niej. Czuć je o milę, aż w nosie wierci!

— To bądź pan rad, że żony nie ma tutaj, aby cię zmusiła do noszenia tego sanitarnego saszetu przy sobie.

— Tak, ale to mnie nie zwalnia z danego jej przyrzeczenia. Wolałbym nie wiem co, jak rozgniewać kobiecinę, bo to takie poczciwe i dobre z kościami, że choć do rany przyłóż... Śmiejesz się ze mnie, doktorze, że się daję za nos wodzić. Poczekaj, aż się sam ożenisz...

— Upewnię panią Singleton, żeś pan robił wszystko, coś mógł, aby mnie odwieść od tego zamiaru.

— Nie uwierzy temu, bo wie, że mi przysługuje prawo zamknąć panią pod klucz. Zresztą jeżeli pani żyć będziesz, to nie będzie potrzeby tłómaczyć się, ale jeżeli padniesz ofiarą zarazy... Narażasz się pani na straszne niebezpieczeństwo, a jak...

Jego otwarta, szczera twarz zasępiła się serdeczną troską; zagryzł wąs, a pytanie uwięzło w głębokiem westchnieniu. Cichy, słodki głos dokończył za niego:

— A jak spodoba się Bogu zabrać mnie z tego świata, to dobra, zacna żona pańska, która była mi prawdziwą i wierną przyjaciółką, pocieszy się myślą, że osiągnęłam nareszcie wieczysty spokój.

Nastała krótka chwila milczenia, w czasie której doktor podszedł do apteczki, przejrzał zawarte w niej lekarstwa, potem powróciwszy, rzekł:

— Jest to najzłośliwsza forma tego rodzaju epidemii, jaką zdarzyło mi się napotkać kiedykolwiek w mojej praktyce lekarskiej; to też, choć nie chcę przestraszać pani, ale muszę wymódz od niej przyrzeczenie, że będziesz pani tak bacznie czuwać nad swojem własnem zdrowiem, jak nad pacyentkami, które bierzesz pod dozór. Czy zastosujesz się pani ściśle do moich przepisów?

— Jaknajściślej.

— To dobrze — rzekł zawiadowca spoglądając na zegarek. — Przykro mi jest wpuszczać panią do tego gniazda zarazy, ale kiedy taka twoja wola, muszę spełnić zlecenie, które dano mi do ciebie zeszłej nocy. Słyszałaś pani smutne dzieje tej Ivy. Le Bougeois, znanej tu pod nazwą krwawej księżny? Położyła się ona dwa dni temu do łóżka, a że stan jej jest bardzo groźny, prawie beznadziejny, więc odchodzi ona niemal od zmysłów z przerażenia. Dziś, kiedy o północy obchodziłem chorych, zastałem ją biegającą po celi i łamiącą ręce, jak waryatka. Usiłowałem ją uspokoić, ale daremnie, a kiedy odchodziłem schwyciła moje ramię, błagając mnie, abym cię przysłał do niej, bo jej się zdaje, że jak jej pani zaśpiewasz tak jak w kaplicy, to głosem swoim rozpędzisz te straszne widziadła, które nie przestają jej dręczyć. Jest to, rozumie się, chorobliwe przywidzenie i zachcianka, ale okropnie jest patrzeć, jak biedaczka lęka się śmierci.

— I nie powiedziałeś mi pan tego wcześniej, kiedy mogłam ulżyć jej cierpieniom? — ze słodkim wyrzutem rzekła Regina.

— To zgryzoty sumienia tak ją dręczą, a przeciw tym nic pani nie pomożesz przy najlepszych chęciach. Możesz-że bowiem zetrzeć tę krew, która cięży na jej duszy?

— Tak, prowadząc ją do Tego, który mocen jest to uczynić.

— Pamiętaj pani, żeś mnie prosiła kiedyś, abym cię trzymał zdala od podobnych jej istot...

— Było to w czasie, kiedy nadmiar własnej męki czynił mnie bezlitosną dla cierpień cudzych. Dziś zrozumiałam lepiej, czego Bóg żąda odemnie: współpracy w Jego dziele nawracania dusz ludzkich ku Niemu. Wskaż mi pan, proszę, drogę do tej nieszczęśliwej.

— Jeszcze nie — sprzeciwił się doktor. — Musisz pani wpierw wysłuchać niektórych przestróg, których ci udzielę, zanim osadzę cię, jako dozorczynię, w tem siedlisku moralnej i fizycznej zgnilizny i zepsucia. Singletonie, przyślij mi tu proszę, szpitalnego felczera.

Bywają sceny, które po wieczne czasy utrwalają się w pamięci, a do takich zaliczały się widoki, które co krok uderzały oczy Reginy, gdy szła na objęcie nowych swoich miłosiernych obowiązków.

Siedząc oparta na krawędzi wąskiego żelaznego łóżka, z którego szara kołdra została zdarta i nawpół przerzucona przez jej ramię, Iva Le Bougeois, cisnąc ręką obolałe gardło, z rozdętemi nozdrzami, chwytającemi chrapliwie oddech, z bosemi, delikatnemi stopami, tupiącemi o podłogę, jęczała głośno, zdjęta śmiertelną trwogą. Gruba, nocna koszula, opadająca jej po kostki i poduszka, po której rzucała się jej niespokojna głowa, zaplamiona była jakimś ciemnym płynem, rozpalone oczy spiekłe usta zdawały się wysysać całą krew ze smagłych policzków, po których rozlała się śmiertelna bladość przerznięta sinemi pręgami podkrążonych, drgających bólem powiek.

Kiedy Regina otwarła żelazne, okute drzwi i podniosła do góry trzymaną w ręku latarkę, w celi bowiem mimo wczesnej godziny panował wilgotny mrok dżdżystego marcowego popołudnia, światło kaganka odbiło się w połyskujących złowieszczo, jak u jaguara, żółtawych, migocących źrenicach aresztantki.

— Dziś rano dopiero powiedziano mi, że chcesz mnie widzieć i pośpieszyłam zaraz na twoje wezwanie.

Kształtna główka, dokoła której wiły się w nieładzie krótkie, czarne kosmyki włosów, odrzuciła się szybo w tył ruchem rozjuszonego dzikiego zwierza, czującego już zaciskające się dokoła szyi szpony śmierci.

— Czy już nie ma żadnej nadziei dla mnie? Czy już wszystko stracone? — zapytał chrapliwy głos z wysiłkiem wydobywający się z piersi.

— Nie. Jesteś bardzo chorą, ale doktor nie traci nadziei, że możesz wyjść z tego... Powiada, że silny twój organizm może zwalczyć zarazę.

— Kiedy niema już ratunku dla mnie... Nie mogę nic przełykać... Silę się... silę... i nie mogę. Ot patrz...

Z przyległej ławki wzięła szklankę z ciemnym jakimś płynem, przyłożyła ją do ust i pocierając ręką obrzmiałe gardło, próbowała kilkakrotnie przełknąć kilka kropli, ale lekarstwo rzuciło jej się nosem, oczy zdały się wychodzić z powiek i nawet krzyk jej zdławił się, gdy bezsilna opadła na poduszkę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.